

***Dashiell***

***Hammett***

***Dwie martwe Chinki***

***przełożyła Ariadna Demkowska-Bohdziewicz***

Kiedy Stary wezwał mnie do swojego pokoju, siedziała na krześle uderzająco sztywna i wyprostowana. Była wysoką dziewczyną w wieku około dwudziestu czterech lat, o szerokich ramionach, płaskich pierśiach. Miała na sobie męski szary garnitur. Jej wschodnie pochodzenie zdradzał jedynie czarny połysk krótko obciętych włosów, żółtawa skóra twarzy bez pudru i fałda górnych powiek do połowy zakrytych ciemną oprawą okularów. Oczy jednak nie były skośne, nos nie był spłaszczony, a broda miała wydatniejszy zarys niż zwykle u mongolskiej rasy. Od niskich obcasów ciemnych bucików aż po czubek niczym nie ozdobionego filcowego kapelusza była nowoczesną Amerykanką pochodzenia chińskiego.

Wiedziałem, kim jest, zanim mnie Stary jej przedstawił. Cała prasa w San Francisco zajmowała się sprawami tej panny przez dobre parę dni. Zamieszczano zdjęcia, wykresy, wywiady, artykuły, opinie mniej lub bardziej doświadczonych ekspertów. Cofnięto się aż do roku 1912, by przypomnieć zaciętą walkę w łonie lokalnej kolonii Chińczyków, głównie z Fokien i Kwangtungu, w której idee demokratyczne szły w parze z nienawiścią do dynastii Ching. Trzymało to ojca dziewczyny z dala od Stanów Zjednoczonych, gdzie schronił się dopiero po krachu cesarstwa. Prasa przypominała poruszenie, jakie zapanowało w Chinatown, gdy Shang Fang dostał pozwolenie na pobyt – na ulicach pojawiły się obraźliwe plakaty, szykowano niezbyt miłe powitanie.

Shang Fang przechytrzył Kantończyków. Nigdy nie ujrzano go w Chinatown. Zabrał córkę i złoto – przypuszczalnie owoc długich lat nadużywania prowincjonalnej władzy – i osiadł w hrabstwie San Ma-teo, gdzie nad Pacyfikiem wybudował sobie, zdaniem prasy, prawdziwy pałac. Żył i umarł tam w sposób godny chińskiego dostojnika i milionera.

Tyle o ojcu. Co do córki, to ta młoda kobieta lustrująca mnie chłodnym spojrzeniem zza stołu, była kiedyś małą Chinceczką, dziesięcioletnią Ai Ho, kiedy ojciec przywiózł ją do Kalifornii. Teraz z dziedzictwa Dalekiego Wschodu miała tylko rysy twarzy, które już opisałem, i pieniądze pozostawione przez ojca. Jej imię, przetłóżone na angielski, brzmiało: „Water Lily”, a w dalszej metamorfozie: Lilian. Jako Lilian Shan uczęszczała na któryś z uniwersytetów Wschodniego Wybrzeża, zdobyła parę stopni naukowych, mistrzostwo w jakichś zawodach tenisowych w 1919 roku i napisała książkę o naturze i znaczeniu fetyszów, czy czegoś w tym rodzaju, cokolwiek by to mogło znaczyć.

Od śmierci ojca w dwudziestym pierwszym roku mieszkała z czwórką

chińskiej służby w domu nad oceanem, gdzie napisała swoją pierwszą książkę. Obecnie pisała drugą. Powiedziała, że przed kilku tygodniami utknęła w martwym punkcie i że w Bibliotece Arsenalu w Paryżu znajduje się rękopis starego kabalistycznego dzieła, które — jak twierdziła — pomogłoby jej rozwiązać wszystkie trudności. Zapakowała więc trochę garderoby i w towarzystwie chińskiej służącej o imieniu Wang Ma udała się pociągiem do Nowego Jorku. Reszcie służby zleciła opiekę nad domem w czasie jej nieobecności. Decyzję podjęcia podróży do Francji, żeby rzucić okiem na wspomniany rękopis, podjęła rano, a przed zapadnięciem zmroku była już w pociągu. Gdzieś pomiędzy Chicago i Nowym Jorkiem wpadło jej nagle do głowy rozwiązanie problemu, który sprawił jej tyle kłopotu. Nie zatrzymując się w Nowym Jorku nawet na jedną noc dla odpoczynku, zawróciła do San Francisco. Z przystani promu zadzwoniła do swego szofera, by po nią przyjechał. Zadnej odpowiedzi. Razem ze służącą pojechały do domu taksówką. Dzwoniła do drzwi bez skutku.

Gdy wkładała klucz do zamku, drzwi nagle się otworzyły: na progu stał młody Chińczyk — nieznajomy. Nie chciał jej wpuścić, póki nie powiedziała, kim jest. Wybąkał coś pod nosem i obie ze służącą weszły do hallu. Zostały skrepowane i zakutane w jakieś zastłony.

Po dwóch godzinach Lilian Shan uwolniła się — była w schowku na bieliznę znajdującym się na piętrze. Zapaliła światło i zabrała się do uwolnienia służącej, lecz poniechała tego. Wang Ma nie żyła. Sznur dokoła jej szyi zaciągnięto zbyt mocno.

Lilian Shan zeszła na dół — w domu nie było nikogo — i zadzwoniła do szeryfa w Redwood City.

Zjawili się dwaj zastępcy szeryfa i wysłuchali jej historii, przeszukali dom i znaleźli jeszcze jedno zwłoki — ciało drugiej uduszonej Chinki pogrzebane w piwnicy. Najwyraźniej nie żyła już od tygodnia albo więcej; wilgotne podłoże uniemożliwiło ścisłe obliczenia. Lilian Shan zidentyfikowała ją jako drugą swoją służącą — kucharkę Wan Lan.

Reszta służby — Hoo Lun i Yin Hung — zniknęła. Z wyposażenia domu wartości kilkuset tysięcy dolarów, jakie stary Shang Fang zainwestował za życia w swój pałac, nie brakowało najmniejszego drobiazgu za parę groszy. Żadnych śladów walki. Wszystko było w idealnym porządku. Najbliższy dom znajdował się w odległości prawie kilometra. Sąsiedzi nic nie zauważyli, nic nie widzieli.

Taką to historią wypełnione były szpalty gazet i taką historię opowiedziała ta dziewczyna mnie i Staremu siedząc sztywno w krześle. Mówiła tonem zwięzłej i rzeczowej rozmowy o interesach i wymawiała każde słowo dobitnie, jakby było wydrukowane tłustą czcionką.

— Jestem niezadowolona z wysiłków, jakie władze hrabstwa San Mateo podjęły dla wykrycia mordercy czy morderczyni — zakończyła swój wywód — i pragnę skorzystać z usług pańskiej agencji.

Stary postukał w blat biurka czubkiem swego nieodłącznego długiego, złotego ołówka i pokiwał głową w moją stronę.

— Czy ma pani własny pogląd inna te zbrodnie, panno Shan? — zapytał.

— Nie mani.

— Co pani wie o swoich służących, tych dwóch, których nie ma, i o dziewczynach, które nie żyją?

— Doprawdy, wiem o nich bardzo mało albo w ogóle nic. — Nie zdradzała większego zainteresowania. — Wang Ma przyszła ostatnia i była ze mną prawie siedem lat. Najął ich wszystkich do służby mój ojciec i przypuszczam, że coś o nich wiedział.

— Nie wie pani, skąd pochodzili? Czy mieli krewnych? Przyjaciół? Co robili w czasie wolnym od pracy?

— Nie wiem — powiedziała. — Nie wtrącam się do ich prywatnego życia.

— Ci dwaj, którzy zniknęli, jak oni wyglądali?

— Hoo Lun to stary" człowiek, siwy, chudy, przygarbiony. Zajmował się domem. Yin Hung, niój szofer i ogrodnik, jest młodszy, ma pewnie około trzydziestki. Niskiego wzrostu, nawet jak na Kantończyka, ale mocnej budowy. Ma złamany nos, który źle zestawiono, bardzo płaski i w środku zapadnięty.

— Czy pani sądzi, że to oni, albo któryś z nich, mógł zabić te kobiety?

— Nie sądzę, żeby oni to zrobili.

— A jak wyglądał ten młodszy Chińczyk, ten obcy, który wpuścił panią do domu?

— Był szczupły, nieduży, miał nie więcej niż dwadzieścia albo dwadzieścia jeden lat i duże złote plomby w przednich zębach. Wydaje mi się, że skórę miał bardzo ciemną.

— Proszę mi dokładniej wyjaśnić, panno Shan, dlaczego nie jest pani zadowolona z tego, co robi szeryf?

— Po pierwsze: nie jestem pewna, czy mają odpowiednie kompetencje. Ci, których widziałam, z całą pewnością nie zachwycili mnie swoją inteligencją.

— A po drugie?

— Doprawdy, czy to konieczne wnikać we wszystkie moje myślowe procesy? — spytała zimno.

— Konieczne.

Spojrzała na Starego, który uśmiechnął się do niej swoim uprzejmym, nic nie mówiącym uśmiechem — twarz miał jak maska, która wszystko kryje.

Przez chwilę walczyła z irytacją. Potem powiedziała:

— Myślę, że szukają nie tam, gdzie trzeba. Wygląda na to, że większą część czasu spędzają w pobliżu domu. Przecież to absurd przypuszczać, że mordercy zamierzają powrócić.

Zastanowiłem się nad jej słowami.

— Panno Shan, czy nie sądzi pani, że podejrzewają panią? — spytałem.

Zdawało się, że spali mnie spojrzeniem swoich czarnych oczu, poprzez

szkła okularów, i — jeśli to możliwe — jeszcze bardziej zeszywniała w krześle.

— Cóż za niedorzeczność!

— Nie o to chodzi — upierałem się, — Jak pani myśli?

— Nie jestem w stanie przeniknąć umysłu policjantów — odcięła się. — A pan?

— Nic o tej sprawie nie wiem poza tym, co czytałem i co pani nam tu powiedziała. Potrzebowałbym o wiele więcej materiału, żeby kogokolwiek podejrzewać. Ale potrafię zrozumieć, dlaczego ludzie szeryfa mogliby mieć trochę wątpliwości. Wyjechała pani w pośpiechu. Mają pani wyjaśnienie, dlaczego pani wyjechała i dlaczego pani wróciła, ale nie poza tym. Kobieta znaleziona w piwnicy mogła równie dobrze zostać zamordowana przed pani wyjazdem, jak i później. Wang Ma, która mogłaby cokolwiek powiedzieć, nie żyje. Reszta służby zniknęła. Niczego nie ukradziono. To naprawdę wystarczy, żeby szeryf myślał o pani!

— Czy pan mnie podejrzewa? — spytała po raz drugi.

— Nie — odpowiedziałem zgodnie z prawdą. — Ale to niczego nie dowodzi.

Zwróciła się do Starego lekko unosząc brodę, mówiąc jakby ponad moją głowę.

— Czy zechce pan zająć się tą sprawą?

— Będzie nam bardzo miło i zrobimy wszystko, co w naszej mocy — powiedział Stary, a po omówieniu warunków, gdy panna Shan wypisywała czek, zwrócił się do mnie: — Ty się tym zajmiesz. Weź do pomocy, kogo ci trzeba.

— Najpierw chcę pojechać do domu i obejrzeć to miejsce — powiedziałem.

Lilian Shan schowała do torebki książeczkę czekową.

— Doskonale — powiedziała — wracam teraz do siebie. Zabiorę pana.

Była to spokojna przejażdżka. Ani dziewczyna, ani ja nie traciliśmy energii na konwersację. Wyglądało na to, że nie bardzo się lubimy z moją klientką. Prowadziła samochód dobrze.

Dom Lilian Shan był duży i zbudowany z brunatnej cegły wśród starannie podlewanych trawników. Wszystko otoczone było z trzech stron żywopłotem sięgającym do ramion. Z czwartej strony był brzeg oceanu, który wcinał się w tym miejscu między dwa skaliste cyple.

Wnętrze było pełne różnych kotar, dywanów, obrazów i tak dalej — mieszaniny rzeczy amerykańskich, europejskich i azjatyckich. Niewiele czasu tam spędziłem. Rzuciłem okiem na schowek na bieliznę, na wciąż otwarty grób w piwnicy i na bladą Dunkę o tępych rysach twarzy, zajmującą się domem do czasu, gdy Lilian Shan znajdzie nowy sztab służących i wyszedłem na dwór. Przez parę minut kręciłem się po trawnikach, wetknąłem głowę do garażu, gdzie stały dwa samochody prócz tego, którym przyjechalismy z miasta i poszedłem dalej, by zmarnować

resztę popołudnia na rozmowy z sąsiadami. Żaden z nich niczego nie wiedział. Ludzi szeryfa nie szukałem, skoro byliśmy dla siebie nawzajem konkurencją.

O zmroku byłem w mieście i wchodziłem do wieżowca, w którym mieszkałem pierwszego roku mego pobytu w San Francisco. Chłopca, który był mi potrzebny, znalazłem w jego przytulnej norze, gdy wkładał różową jak czereśnia koszulę — było na co spojrzeć! Cipriano, Filipińczyk o jasnej twarzy, w ciągu dnia pilnował frontowych drzwi. Wieczorem można było go znaleźć, jak wszystkich Filipińczyków w San Francisco, na Kearny Street, tuż poniżej Chinatown, chyba że w jakimś chińskim domu gry przekazywał swoje pieniądze w ręce żółtych braci.

Kiedyś, półzartem, obiecałem, że jeśli trafi się sposobność, to dam mu zakosztować pracy detektywa. Pomyślałem, że teraz mogę się nim posłużyć.

— Proszę, proszę do środka! — Wyciągnął z kąta krzesło dla mnie kłaniając się i uśmiechając.

Bez względu na to, oo robią Hiszpanie z narodami, którymi rządzą, na pewno uczą ich grzeczności.

— Co tam słysząc ostatnio w Chinatown? — spytałem.

Nie przestając się ubierać Cipriano błysnął w uśmiechu białymi zębami:

— Wygrałem wczoraj jednaście dolców.

— I masz zamiar to przegrać dzisiaj?

— O, nie wszystko, proszę pana. Pięć wydałem na tę koszulę.

— I warta tego! — Pochwaliłem go, że rozsądnie zainwestował część zysków z hazardu. — Co poza tym słysząc?

— To, co zwykle, proszę pana. Chce się pan czegoś dowiedzieć?

— Ewentualnie. Czy gadają o tych zabójstwach w zeszłym tygodniu nad oceanem?

— Nie, proszę pana. Chińczyk nie rozpowiada o takich rzeczach. Nie to, co my, Amerykanie. Czytałem o tym w gazetach, ale słyszeć, nie słyszałem.

— Dużo obcych kręci się teraz w Chinatown?

— Zawsze ktoś nowy się pokaże, proszę pana. Może i przybyło teraz trochę nowych. A może i nie.

— Miałbyś ochotę zrobić coś dla mnie?

Na to on:

— O tak, proszę pana! Tak, proszę pana. — I powtarzał swoje „tak” wielokrotnie, gdy, już na klęczkach, wyciągał spod łóżka walizkę, a z niej parę mosiężnych kastetów i lśniący rewolwer.

— Czekać no! Chodzi mi o garść informacji. Wcale nie chcę, żebyś kogoś dla mnie stuknął.

— Nie zrobię tego — zapewnił mnie wpychając broń do kieszeni na biodrach. — Noszę to na wszelki wypadek... Może się przydać.

Dałem mu spokój. Jeśli chciał się dorobić krzywych nóg dźwigając tonę żelastwa, to Bóg z nim.

— Posłuchaj, czego chcę. Zwiato dwóch służących z tego domu nad oceanem. — Opisałem Yin Hunga i Hoo Luna. — Chcę ich znaleźć. Chcę wiedzieć, czy ktoś w Chinatown wie coś o tych zabójstwach. Chcę wiedzieć o przyjacielach i krewnych tych dwóch martwych Chinek, skąd pochodziły, i to samo o tych dwóch facetach. Chcę wiedzieć o nowych przybyszach, gdzie się kręcą, gdzie śpią i co knują. Nie staraj się przypadkiem dowiedzieć wszystkiego w jeden wieczór. Dobrze, jeśli będziesz coś wiedział za tydzień. Masz tu dwadzieścia dolarów. Pięć to twoja stawka za jedną noc. Reszta na wydatki, żebyś mógł się swobodnie poruszać. Nie pchaj się, gdzie nie trzeba, bo możesz zdrowo oberwać. Rozejrzyj się spokojnie za czymś, co może mi się przydać. Wpadnę tu jutro.

Od Filipińczyka poszedłem do biura. Nie było nikogo prócz Fiskego, który miał nocny dyżur, ale Fiske uważał, że trochę później Stary wpadnie tu jeszcze na chwilę.

Paląc udawałem, że słucham dowcipów — Fiske zdawał mi dokładne sprawozdanie z bieżącego programu w „Orfeum” — ale pogrążony byłem w niewesołych rozmyślaniach. Za dobrze znano mnie w Chinatown, żebym mógł tam osobiście cokolwiek wywachać. Wcale nie byłem pewien, że będę miał wielki pożytek z Cipriana. Potrzebowałem kogoś stamtąd, kogoś dobrze zorientowanego.

Idąc za tą myślą przypomniałem sobie Uhla. Uhl był „głuchoniemym”, który stracił swój talent. Jeszcze przed pięciu laty świat należał do Uhla. Tylko w wyjątkowo paskudny dzień jego smutna twarz, paczka szpilek i napis „Jestem głuchoniemy” nie pozwalały mu zgarnąć dwudziestu dolców na stałej trasie wśród biur i urzędów. Posiadał jeden wielki dar: umiał zachować posagowy spokój, kiedy jakiś niedowiarek wrzasnął mu nagle za plecami albo narobił hałasu. Kiedy był w dobrej formie, można mu było strzelić z pistoletu nad głową — nawet nie mrugnął okiem. Ale nadużywanie heroiny zrujnowało mu nerwy i doprowadziło do tego, że wystarczył byle szmer czy szept, żeby ten „głuchoniemy” wyskakiwał ze skóry. Pożegnał się ze swoimi szpilekami i tablicą — jeszcze jedna ofiara towarzyskich nawyków.

Od tego czasu Uhl służył za posłańca każdemu, kto gotów był zaryzykować stawkę równą cenie jego dziennej porcji białego przysmaku. Sypiał gdzieś w Chinatown i nie przejmował się regułami gry. Użyłem go dla zdobycia kilku informacji, kiedy przed pół rokiem rozwalono tam jakieś okno.

Zadzwoń do Loopa Pigatti — miał spelunę na Pacific Street, tam gdzie Chinatown graniczy z Dzielnicą Łacińską. Loop to dzielny obywatel, który prowadził przyzwoitą knajpę i nie wtykał nosa w cudze sprawy. Dla Loopa wszyscy byli równi. Bandzior, donosiciel, detektyw czy robotnik — Loop każdego obsłużył i na tym koniec. Ale mogłeś być pewny, że jeżeli mu coś powiesz — a nie godzi to w jego interes — nie puści pary z ust. I kiedy on tobie coś powie, to powie prawdę.

Przyjął telefon osobiście.

— Czy może mi pan znaleźć Uhla? — spytałem wyjaśniając najpierw, kim jestem.

— Niewykluczone.

— Dziękuję. Chciałbym się z nim widzieć dziś wieczorem.

— Ma pan coś na niego?

— Nie, panie Loop, nie mam i nie przewiduję. Chcę, żeby coś dla mnie zrobił.

— W porządku. Gdzie pan chce się z nim widzieć?

— Przyślij go pan do mnie. Będę czekał.

— Jeśli się pokaże — obiecał Loop i odwiesił słuchawkę.

Zostawiłem wiadomość Fiskemu, żeby Stary zadzwonił do mnie, kiedy przyjdzie, a potem poszedłem do siebie i czekałem na mojego informatora.

Przyszedł parę minut po dziesiątej — niski, przysadzisty mężczyzna około czterdziestki o twarzy koloru ciasta i mysich włosach przetykanych pasmami żółtawej bieli.

— Loop mi powiedział, że pan ma coś dla mnie.

— Tak — odrzekłem wskazując mu ręką krzesło i zamykając drzwi. — Skupuję wiadomości.

Gniótł w rękach kapelusz, zamierzał splunąć na podłogę, ale się rozmyślił, oblizał wargi i spojrzał na mnie.

— Jakie wiadomości? Ja nic nie wiem.

Patrzyłem na niego zaskoczony. Wskutek używania heroiny źrenice jego żółtych oczu powinny były przypominać łepki od szpilek, jak to u narkomanów. Ale nie przypominały. Były normalne. Nie znaczyło to, że odstawił heroinę — po prostu zakropił sobie beladonnę, żeby rozszerzyć źrenice do normalnej wielkości. Dlaczego? To mnie zastanowiło.

— Słyszałeś o tych zabitych Chinkach nad oceanem w zeszłym tygodniu? — spytałem.

— Nie.

— W związku z tym — powiedziałem puszczać mimo uszu jego „nie” — szukam dwóch Chińczyków, którzy zwiali: Hoo Luna i Yin Hunga. Wiesz coś o nich?

— Nie.

— Dostaniesz dwieście dolarów, jeśli znajdziesz mi któregoś z nich. Drugie dwieście, jeżeli się dowiem, kto zabił, i jeszcze dwieście, jeżeli znajdziesz chudego wyrostka, też Chińczyka, ze złotymi zębami, tego, który wpuścił do domu tę Shan i jej służącą.

— Nic nie wiem o tym wszystkim.

Ale powiedział to odruchowo, bo umysł miał zajęty obliczaniem setek dolarów, którymi pomachałem mu przed nosem. Przypuszczam, że w jego głowie, zmetniałej od narkotyków, suma dolarów podskoczyła do kilku tysięcy. Zerwał się z miejsca.

— Zobaczę, co mogę zrobić. A może dałby mi pan zaliczkę? Sto?

Nie miałem zamiaru.



— Pieniądze za dostawę.

Musieliśmy podyskutować na ten temat, lecz w końcu — stękając i narzekając — poszedł, aby zdobyć potrzebne mi informacje.

Wróciłem do biura. Starego jeszcze nie było. Dochodziła północ, gdy się zjawił.

— Znowu posługuję się Uhlem — powiedziałem. — Wysłałem też do Chinatown pewnego młodego Filipińczyka. Ale przyszedł mi do głowy pewien pomysł, tylko nie wiem, kto mi to załatwi. Myślę, że gdybyśmy dali ogłoszenie o pracy dla szofera i służącego gdzieś na wsi, to ci dwaj, co zwiali, daliby się na to nabrać. Czy zna pan kogoś, kto by to dla nas zaaranżował?

— Powiedz dokładnie, co masz na myśli?

— Musiałaby to być osoba posiadająca dom gdzieś na odludziu, im dalej od miasta tym lepiej. Zadzwoniłaby do któregoś z tych chińskich biur pośrednictwa pracy, że potrzebuje kucharza, służącego i szofera. Kucharza podstawimy dla stworzenia pozorów. Absolutna dyskrecja z tamtej strony i — jeśli ryba ma połknąć haczyk — to musi mieć czas na zbadanie terenu. Więc ten, kto to dla nas robi, powinien mieć służbę i puścić gadkę, mam na myśli najbliższe sąsiedztwo, że służba odchodzi. Ta też musi być wtajemniczona. Trzeba będzie odczekać parę dni, żeby nasi przyjaciele mogli się rozejrzeć. Myślę, że najlepsza do tego będzie agencja Fong Yicka na Washington Street. Ten, kto się tym zajmie, powinien zadzwonić jutro rano do Fong Yicka i powiedzieć, że wypadnie we czwartek rano, żeby przyjrzeć się kandydatom. Mamy dziś poniedziałek — to wystarczy. Nasz pomocnik przyjdzie do agencji o dziesiątej rano we czwartek. Panna Shan i ja przyjedziemy taksówką dziesięć minut później, w trakcie badania kandydatów. Wyskoczę z taksówki do agencji i przytrzymam tych, co będą wyglądać na naszych zbiegów. Panna Shan zjawi się po minucie i zidentyfikuje facetów, żeby nie było hecy, że się aresztuje ludzi bezpodstawnie.

Stary pokiwał głową z uznaniem.

— Bardzo dobrze — powiedział. — Myślę, że mogę to załatwić. Dam ci znać jutro.

Wróciłem do domu i położyłem się spać. Tak zakończył się pierwszy dzień.

Następnego dnia rano, we wtorek, rozmawiałem z Ciprianem w domu, w którym był portierem. Oczy miał tak podkrążone, że wyglądały jak dwie plamy z atramentu na białym talerzu. Twierdził, że coś ma.

— Tak. Kręcą się obcy po Chinatown. Spią w domu na Waverly Place — po zachodniej stronie, cztery domy od Jaira Quona, gdzie czasem gram w kości. I jeszcze coś: rozmawiałem z jednym białym, który wie, że to opryszeki z Portland i Eureka, i Sacramento. To ludzie Hip Singa. Może się zacząć wojna gangów niedługo.

— Czy te typki wyglądają, twoim zdaniem, na rewolwerowców?

Cipriano podrapał się w głowę.

— Chyba nie, proszę pana, ale taki, co nie wygląda, też może czasem strzelać. Ten biały powiedział mi, że to ludzie Hip Singa.

— A ten biały to kto taki?

— Nie wiem, jak się nazywa, ale mieszka tam.

Niski, biała głowa.

— Siwe włosy, żółtawe oczy?

— Tak, proszę pana.

Z całą pewnością był to Uhl. A więc jeden z moich ludzi nabijał w butelkę drugiego. Walka gangów nie wydała mi się prawdopodobna. Dochodzi czasem do rozróby, która zwykle służy ukryciu jakiegoś zbrodni. Prawdziwe jatki w Chinatown to najczęściej rezultat rodzinnych albo klanowych porachunków.

— A ten dom, w którym, jak ci się zdaje, mieszkają obcy, co wiesz o nim?

— Nie, proszę pana. Ale może przez ten dom jest przejście do domu Chang Li Chinga na drugiej ulicy, na Spofford Alley.

— Ach tak! A któż to jest ten Chang Li Ching?

— Nie wiem, proszę pana. Ale on tam jest. Nikt go nigdy nie widział, ale Chińczycy mówią, że to wielki człowiek.

— Ach tak! I jego dom jest na Spofford Alley?

— Tak, proszę pana, dom z czerwonymi drzwiami i czerwonymi schodkami. Łatwo pan znajdzie, ale lepiej nie zadawać się z Chang Li Chingiem.

Trudno mi było powiedzieć, czy była to rada, czy tylko ogólna uwaga.

— Gruba ryba, co? — próbowałem wyciągnąć z niego coś więcej.

Lecz mój Filipińczyk niczego w istocie nie wiedział o Chang Li Chingu. Przekonanie o jego wielkości opierał na zachowaniu Chińczyków, gdy o nim wspominali. Po wyjaśnieniu tej kwestii spytałem:

— Dowiedziałeś się czegoś o tych dwóch Chińczykach?

— Nie, proszę pana, ale dowiem się. Z całą pewnością. Pochwaliłem go za to, co zrobił, kazałem spróbować jeszcze raz tego wieczora i wróciłem do siebie, by czekać na Uhla, który obiecał przyjść o pół do jedenastej. Nie było jeszcze dziesiątej, więc wykorzystałem wolną chwilę, żeby zadzwonić do biura. Stary powiedział, że Dick Foley — as naszych agentów — był wolny, więc go sobie pożyczyłem. Potem naładowałem spluwę i siedząc czekałem na mojego donosiciela. Zadzwonił do drzwi o jedenastej. Wszedł z marsem na czole.

— Sam nie wiem, co o tym myśleć, chłopcze — powiedział bardzo ważnym tonem, skrecając papierosa. — Coś się tam szykuje, to fakt. Nie ma spokoju, odkąd Japończycy zaczęli kupować sklepy w Chinatown i może chodzi właśnie o to. Ale obcych tam nie ma, niech ich diabli wezmą. Podejrzewam, że ci dwaj, co pana interesują, wynieśli się do Los Angeles, ale spodziewam się, że na pewno będą wiedział dziś wieczór. Mam umówionego żółtka na dostawę towaru; na pańskim miejscu miałbym oko na port w San Pedro. Ci dwaj, co zwiiali, mogą wymienić dokumenty z chińskimi marynarzami, co chcieliby tu pozostać.

— Iw mieście nie ma obcych?

— Ani jednego.

— *Śłuchaj no, ty głuchy niemowo — powiedziałem z goryczą — jesteś kłamczuch i jesteś tuman. Podstawiłem cię naumyślnie. Maczałeś palce w tych zabójstwach razem ze swoimi kolegami, a teraz wsadzę cię do pudła i twoich kumpli na dodatek.*

*Wycelowałem broń prosto w jego przerażoną, poszarzałą twarz.*

— *Siedź cicho, muszę zadzwonić.*

*Nie spuszczałem go z oka sięgając wolną ręką po słuchawkę.*

*To nie wystarczyło. Miał mój rewolwer zbyt blisko. Chwycił go, a ja skoczyłem na niego.*

*Obróciłem rewolwer w palcach. Wyrwałem- mu go — za późno. Wypalił z odległości mniej niż trzydziestu centymetrów od miejsca, w którym jestem najszerzy. Ogień poparzył mi ciało.*

*Ściskając rewolwer w dłoniach osunąłem się na podłogę zgięty wpół. Uhl wypadł z pokoju zostawiając za sobą otwarte drzwi.*

*Z ręką na brzuchu, który mnie palił, podbiegłem do okna i machnąłem ręką na Dicka Foleya, ukrytego za najbliższym rogiem. Potem poszedłem do łazienki i obejrzałem moją ranę. Ślepy nabój też może zranić, kiedy człowiek oberwie z małej odległości.*

*Kamizelka, koszula i podkoszulek były zniszczone, a ciało paskudnie poparzone. Natłuściłem to miejsce, zalepiłem plastrem, przebrałem się, powtórnie nabiłem rewolwer i wróciłem do biura, żeby czekać na jakąś wiadomość od Dicka. Wyglądało na to, że pierwsze posunięcie w tej grze było udane. Heroina heroina, ale Uhl nie skoczyłby na mnie, gdyby moje przypuszczenie nie było trafne, a oparłem je na fakcie, że zadawał sobie dużo trudu, by nie patrzeć mi w oczy i kłamliwie wmawiał, że w Chinatown nie ma obcych.*

*Dick nie kazał na siebie długo czekać.*

— *Mam coś! — powiedział wchodząc. Jego wypowiedzi przypominały telegram człowieka skąpego: — Poleciał do telefonu. Połączenie z budki: hotel Irvington, mogłem złapać tylko numer. Powinien wystarczyć. Potem Chinatown. Wpadł do piwnicy na zachodniej stronie Waverly Place. Za daleko na dokładne rozeznanie. Kręcić się tam dłużej — ryzyko. Przyda się?*

— *Na pewno. Zobaczymy, co mamy w archiwum o Świstaku.*

*Urzędnik obsługujący kartotekę przyniósł nam pokazną kopertę wielkości teczki, wypchaną notatkami, wycinkami i listami. Wszystko to składało się na mniej więcej taką oto biografię:*

*Neil Conyers, alias Świstak, urodził się w Filadelfii, na przedmieściu Whiskey Hill w 1883 roku. W dziewięćdziesiątym czwartym, mając lat jedenaście, wpadł w ręce policji w Waszyngtonie. Wybrał się tam, żeby dołączyć do armii bezrobotnych maszerujących pod wodzą Coxeya na Waszyngton. Odesłano go do domu. W dziewięćdziesiątym ósmym został aresztowany w swoim rodzinnym mieście za zakłucie nożem chłopca w bijatyce podczas festynu wyborczego. Tym razem zwolniono go i oddano pod kuratelę rodzicom. W 1901 znów go zgarnęła policja i o-*

skarżyła o przywództwo w pierwszym zorganizowanym gangu złodziei samochodów. Z braku dowodów zwolniony bez rozprawy. Ale prokurator musiał odejść ze stanowiska wskutek skandalu dokoła tej sprawy. W 1908 Conyers pojawił się na wybrzeżu Pacyfiku – w Seattle, Portland, San Francisco i Los Angeles – w towarzystwie znanego oszusta, niejakiego Hughesa, Hughes został zastrzelony następnego roku przez człowieka, którego wykantował w jakiejś aferze z fikcyjną produkcją samolotów. W tej samej sprawie Conyersa zaarrestowano. Przysięgli nie doszli do porozumienia i Conyers znalazł się na wolności. W 1910 został złapany w czasie słynnej obławy pocztowców na złodziei kolejowych. I znów zabrakło dowodów, żeby go zamknąć. Ramię sprawiedliwości dosięgło go po raz pierwszy w roku 1915. Wylądował w więzieniu San Quentin za kantowanie jakichś gości zwiedzających Międzynarodową Wystawę Panamską. Siedział trzy lata. W 1919 roku Conyers razem z pewnym Japończykiem, który nazywał się Hasegawa, nabrał kolonię japońską w Seattle na dwadzieścia tysięcy dolarów. Conyers podawał się za amerykańskiego oficera oddelegowanego do armii japońskiej w czasie wojny. Miał podrobiony order Wschodzącego Słońca, który rzekomo przypiął mu do piersi sam cesarz. Kiedy wszystko się wydało, rodzina Hasegawy zwróciła poszkodowanym dwadzieścia tysięcy. Conyers wyszedł z tego z niezłym zyskiem i nawet bez uszczerbku na imieniu. Sprawę zatuszowano, wrócił potem do San Francisco, kupił hotel Irvington, gdzie mieszka od pięciu lat i nikt nie może powiedzieć o nim jednego złego słowa. Knuje coś, lecz co – tego nikt nie był w stanie się dowiedzieć. Zainstalować detektywa jako gościa w jego hotelu było zupełną niemożliwością. Wszystkie pokoje miał zawsze zajęte. Miejsce tak ekskluzywne, jak najdroższy nowojorski klub.

Taki był właściciel hotelu, do którego Uhl dzwonił, zanim zniknął w swojej norze w Chinatown.

Nigdy nie widziałem Conyersa. Dick również. W jego kopercie znajdowała się para zdjęć. Zdjęcie en face i z profilu zrobione przez lokalną policję, kiedy przymknęto go pod zarzutem, który zawiódł ptaszka do San Quentin. I drugie, grupowe z Seattle: Conyers wymuskany, w wieczorowym stroju, z fałszywym japońskim orderem na piersi, stojący pośród kilku Japończyków, których nabił w butelkę, amatorskie zdjęcie, zrobione właśnie wtedy, kiedy wiódł swoje ofiary na rzeź.

Na tych obrazkach widać było, że to nie byle jaki gość – niezłej tuszy, z ważną miną, mocno zarysowaną szczęką i chytrymi oczami.

— Myślisz, że go poznasz?

— No pewnie.

— Przypuśćmy, że poszedłbyś tam i rozejrzał się za jakimś pokojem albo mieszkaniem w sąsiedztwie, tak żeby mieć hotel na oku. Mógłbyś śledzić ptaszka od czasu do czasu.

Na wszelki wypadek schowałem zdjęcie do kieszeni, resztę wepchnąłem z powrotem do koperty i poszedłem do Starego.

— Załatwiłem ci ten numer z biurem pośrednictwa pracy. Niejaki

Frank Paul, który ma ranczo gdzieś aż za Martinez, zgłosi się do agencji Fong Yicka we czwartek rano o dziesiątej i zrobi, co do niego należy.

— To świetnie. Idę teraz z wizytą do Chinatown. Jeśli nie odezwą się przez parę dni, zechce pan poprosić zamiataczy ulic, żeby zwrócili uwagę na to, co sprzątają?

Obiecał to zrobić.

Chinatown wynurza się w San Francisco całkiem niespodziewanie z dzielnicy handlowej przy California Street i biegnie na północ do Dzielnicy Łacińskiej; ma szerokość dwóch bloków i długość sześciu. Przed pożarem miasta zamieszkiwało tych dwanaście ulic prawie dwadzieścia pięć tysięcy Chińczyków. Nie sądzę, żeby teraz było ich tam więcej niż jedna trzecia.

Grant Avenue — główna ulica i kręgosłup tej dzielnicy — prawie na całej długości jest ulicą sklepów z kolorową tandetą i jarzących się światłami knajpek, gdzie podają turystom mięso z cebulą i ryżem, a jazgot amerykańskiego jazzu zagłusza odzywający się od czasu do czasu piskliwy chiński flet. Dalej nie ma już tyle koloru i szychu i można poczuć prawdziwie chiński zapach przypraw, octu i różnych suszonych rzeczy. A kiedy zostawi się za sobą te kilka większych ulic i atrakcje turystyczne i nic złego człowieka nie spotka, to ma się szansę znaleźć to i owo — chociaż nie wszystko może się spodobać.

Co do mnie, to skręciwszy z Grant Avenue na Clay Street, nigdzie się nie wałęsałem, tylko poszedłem prosto na Spofford Alley szukając domu z czerwonymi schodkami i czerwonymi drzwiami, o którym Ci-priano powiedział, że należy do Chang Li Chinga. Przyznam, że mijając Waverly Place przystanąłem tam na chwilę, żeby się rozejrzeć. Mój Filipińczyk powiedział, że właśnie tam mieszkają obcy przybysze i że jego zdaniem dom ten może mieć przejście do domu Chang Li Chinga; Dick Foley śledził Uhla właśnie do tego miejsca.

Nie mogłem jednak odgadnąć, który dom należał do Chang Li Chinga. Czwarte wejście, licząc od szulerni Jaira Quona, mówił Cipriano, lecz nie miałem pojęcia, gdzie ta szulernia. Na Waverly Place panowała wzorowa cisza i spokój. Jakiś opasły Chińczyk ustawiał skrzynki z jarzynami przed swoim sklepem. Pół tuzina małych chińskich chłopców grało w kulki na środku ulicy. Po drugiej stronie jakiś blondas w tweedowym garniturze wyszedł po sześciu stopniach z piwnicy na ulicę, za jego plecami mignęła mi na chwilę twarz wymalowanej Chinki zamykającej za nim drzwi. Nieco dalej przed jedną z chińskich papierni wyładowywano z ciężarówki bele papieru. Obdarty przewodnik wyprowadzał czwórkę turystów z chińskiej świątyni Królowej Nieba, która mieściła się nad główną kwaterą Sue Hinga.

Poszedłem dalej i na Spofford Alley bez trudu znalazłem mój dom. Był to odrapany budynek ze schodkami i drzwiami w kolorze zaschłej krwi. Okna miał na głucho zabite grubymi deskami. Od otaczających domów różnił się tym, że nie miał na parterze żadnego sklepu czy biura. Domy służące wyłącznie do mieszkania są w Chinatown rzadkością; prawie zawsze parter przeznaczony jest na handel i robienie pieniędzy, mieszka się w piwnicy albo na górnych piętrach.

Wszedłem po trzech stopniach i kostkami palców zastukałem do drzwi.

**Żadnej odpowiedzi.**

**Zastukałem ponownie, mocniej. Znów nic. Spróbowałem jeszcze raz i tym razem w nagrodę usłyszałem, że w środku coś zgrzytnęło.**

**Po co najmniej dwóch minutach takiego zgrzytania i chrobotania drzwi otwarły się — na szerokość piętnastu centymetrów.**

**Przez szparę ponad ciężkim łańcuchem, który przytrzymał drzwi, wyjrzało ku mnie jedno skośne oko i kawałek pomarszczonej ciemnej twarzy.**

**— Co?**

**— Chcę się widzieć z Chang Li Chingiem.**

**— Nie rozumiem.**

**— Bzdura! Zamknij te drzwiczki i leć do Chang Li Chinga powiedzieć, że chcę się z nim widzieć.**

**— Nie może! Nie zna Chang.**

**— Powiedz mu, że tu jestem — odpowiedziałem odwracając się plecami. Usiadłem na najwyższym stopniu i nie rozglądając się na boki dodałem: — Będę czekać.**

**Gdy wyjąłem papierosa, za moimi plecami zapanowała cisza. Potem drzwi bezgłośnie zamknęły się, a za nimi znów zazgrzytało i zachrobotano. Wypaliłem papierosa, potem drugiego, czas płynął, a ja usiłowałem wyglądać na kogoś, dla kogo czas nie istnieje. Miałem nadzieję, że ten żółtek nie zamierza zrobić ze mnie wała każąc mi tu siedzieć aż do zupełnego wyczerpania.**

**Mijali mnie przechodzący uliczką Chińczycy szurając po bruku nogami w amerykańskim obuwiu, które nigdy nie jest zrobione na ich miarę. Niektórzy ciekawie zerkali na mnie, inni nie zwracali najmniejszej uwagi. Gdy już zmarnowałem godzinę i parę minut, za drzwiami rozległy się znane mi trzaski i zgrzyty.**

**Zabrzączał łańcuch, gdy drzwi się otwarły. Nie odwróciłem głowy.**

**— Idź stąd. Chang nie ma.**

**Milczałem. Jeśli nie zamierza mnie wpuścić, to będzie musiał się pogodzić z tym, że mimo wszystko tu pozostanę. Pauza.**

**— Co chce?**

**— Chcę widzieć się z Chang Li Chingiem — powiedziałem nie odwracając głowy.**

**Znów pauza zakończona uderzeniem łańcucha o futrynę.**

**— Dobrze.**

**Rzuciłem papierosa na ulicę, wstałem i wszedłem do domu. W półmroku mogłem dostrzec kilka tanich i zniszczonych mebli. Musiałem poczekać, aż Chińczyk założy na drzwi cztery grube jak ramię sztaby i zamknie na nich kłódkę. Potem skinął na mnie głową i szurając no-**

gami poszedł przodem — mały, zgarbiony człowieczek o łysej, żółtej głowie i karku przypominającym kawałek powroza.

Z tego pokoju poprowadził mnie do drugiego, jeszcze ciemniejszego, potem na korytarz i w dół po kilku chwiejących się stopniach. Czulem mocny zapach stęchłej odzieży i wilgotnej ziemi. Szliśmy przez chwilę w ciemności po klepisku, skręciliśmy na lewo i poczułem pod nogami beton. Jeszcze dwa razy skręciliśmy w ciemności, potem po stopniach z nie heblowanego drewna weszliśmy do korytarza, w którym było względnie jasno od elektrycznego światła.

Mój przewodnik otworzył jakieś drzwi i przeszliśmy przez pokój, w którym żarzyło się kadzidło i w świetle lampki oliwnej widniały małe czerwone stoliki zastawione filiżankami, a na ścianie — drewniane tablice pokryte złotymi znakami chińskiego pisma. Przez drzwi w przeciwległej ścianie wkroczyliśmy w zupełny mrok i musiałem chwycić się poły obszernego, szytego na miarę niebieskiego płaszcza mojego przewodnika.

Od początku naszej wędrówki ani razu nie obejrzał się na mnie i żaden z nas nie powiedział słowa. To latanie po schodach, w górę i w dół, to skręcanie raz w prawo, raz w lewo, wydało mi się dość nieszkodliwe. Jeśli bawiło starego — proszę bardzo! Byłem już dostatecznie skołowany — nie miałem najmniejszego pojęcia, gdzie się znajduje. Ale nie bardzo się tym przejmowałem. Jeśli poderżną mi tu gardło, świadomość mojego położenia geograficznego wcale mi tego nie uprzyjemni. Jeżeli mam wyjść stąd cały i zdrowy, to wszystko mi jedno, którędy wyjdę.

Było jeszcze dużo tego kręcenia się w kółko, wchodzenia na schody i schodzenia w dół i tym podobnych głupstw. Obliczyłem w myśli, że jestem tu już prawie pół godziny i nikogo nie zobaczyłem prócz mego przewodnika.

Wreszcie ujrzałem coś innego.

Szliśmy przez długi, wąski korytarz z szeregiem pomalowanych na brązowo drzwi po obydwu stronach. Wszystkie były zamknięte i w półmroku wyglądały tajemniczo. Mijając jedne z nich dostrzegłem kątem oka tępy blask metalu, ciemny krzątek w samym środku drzwi.

Rzuciłem się na podłogę.

Padając jak podcięty nie zobaczyłem ognia. Ale usłyszałem huk i poczułem zapach prochu.

Mój przewodnik błyskawicznie obrócił się — jedna noga wyskoczyła mu z bambosza. W każdej ręce trzymał pistolet wielki jak łopata. Sięgnąłem po rewolwer, nie mogąc jednocześnie oprzeć się zdumieniu, w jaki sposób ten mały staruszek potrafił ukryć na sobie tyle żelastwa!

Dwie wielkie spluwy celowały we mnie. Chińskim zwyczajem staruszek walił jak opętany: trrach, trrach, trrach!

Myślałem, że chybia celu, gdy kładłem palec na cynglu. Lecz w porę oprzytomniałem i nie strzeliłem.

On nie celował we mnie. Ładował kule w drzwi za moimi plecami, w te drzwi, z;za których do mnie strzelano.

Potoczyłem się daleko po podłodze korytarza.

Kościsty staruszek zakończył bombardowanie i podszedł bliżej. Posiekał drewno, jakby to był papier. Wyrzucił wszystko, co miał.

Drzwi otworzyły się pchnięte przez zewłok człowieka, który usiłował trzymać się na nogach przywierając do nich całym ciałem. „Głuchoniemy” Uhl, z którego prawie nic nie zostało, zwałił się na podłogę i zamienił się w kałużę krwi.

W korytarzu zaroilo się od żółtych twarzy, wśród których sterczały czarne lufy.

Wstałem. Mój przewodnik opuścił swoje pukawki i gardłowym głosem wyśpiewał solo całą arie. Chińczycy zaczęli znikać w poszczególnych drzwiach z wyjątkiem czterech, którzy zabrali się do uprzątnięcia tego, co został z Uhla po dwudziestu zainkasowanych kulkach.

Mój żylasty oldboy schował swoje pistolety, pozbawione już naboju, i podszedł do mnie wyciągając rękę po mój rewolwer.

— Niech to da — powiedział uprzejmie.

Dałem mu to. Gdyby zażądał moich spodni, też bym mu dał. Wetknął mój rewolwer za poję swojej koszuli, od niechcenia rzucił okiem na to, co nieśli czterej Chińczycy, a potem na mnie.

— Nie lubił go, co? — spytał.

— Nie bardzo — przyznałem.

— W porządku. Idziemy,

I znów zaczęła się nasza dwuosobowa parada. Bawiąc się dalej w „chodzi lisek koło drogi” pokonałiśmy jeszcze jedne schody i kilka zakrętów w prawo i w lewo i wreszcie mój przewodnik przystanął przed jakimiś drzwiami. Przeciągnął po nich paznokciami.

Drzwi otworzył też Chińczyk. Lecz ten nie należał do naszych kantońskich karzelków. Był to potężny, karmiony mięsem zapaśnik, z byczym karkiem, barami jak pagóry, łapami goryla i skórą grubą jak na buty. Bóstwo, które go stworzyło, musiało mieć materiału pod dostatkiem, i to w najlepszym gatunku.

Przytrzymując kotarę zasłaniającą wejście olbrzym odstąpił na bok. Przekroczyłem próg i ujrzałem jego bliźniaka stojącego po drugiej stronie drzwi.

Pokój był duży i okrągły, drzwi i okna, jeśli je miał, zakrywały aksamitne kotary — zielone, niebieskie i srebrne. W dużym, bogato rzeźbionym czarnym krześle stojącym za inkrustowanym czarnym stołem siedział stary Chińczyk. Twarz miał okrągłą, mięsistą i przebiegłą, z kosmykami rzadkiej białej brody, na głowie ciemną, przylegającą do czaszki czapkę; jego purpurowa szata obejmująca ciasno szyję podbita była sobolami. Futro widniało w rozchyleniu fałdy opadającej na niebieskie satynowe spodnie.

Nie wstał, lecz uśmiechnął się łagodnie sponad swojej brody i pochylił głowę niemal dotykając zastawy do herbaty stojącej na stole.

— Jedynie zupełna niemożność uwierzenia, że ktoś tak pełen boskiej



wspaniałości jak jego ekscelencja zechce tracić swój cenny czas dla nędznego prostaka, powstrzymała najpośledniejszego z pańskich sług, by nie pobiegnął upaść do szlachetnych stóp, gdy tylko usłyszał, że Ojciec Detektywów stoi u jego niegodnych progów.

Wyrecytowane to było nienaganną angielszczyzną i tak gładko, że sam nie potrafiłbym lepiej. Czekałem, nie mrugnawszy okiem.

— Jeśli Postrach Przeszłoczków zaszczyci któreś z moich żalonych krzesel i zechce mu powierzyć swoje ciało, mogę zapewnić, że krzesło to zostanie potem spalone, aby nikt gorszy nie mógł go użyć. A może Księżę Łowców Złodziei zezwoli mi postać służącego do jego pałacu po krzesło bardziej godne Księcia?

Podszedłem powoli usiłując ułożyć w głowie odpowiedź. Ten stary koń nabijał się ze mnie doprowadzając do absurdu słynną chińską uprzejmość. Ale już taki jestem, że idę na wszystko — do pewnych granic.

— Tylko dlatego, że z czią uginają się pode mną kolana na widok potężnego Chang Li Chinga, ośmielię się usiąść — wyjaśniłem osuwając się na krzesło i odwracając głowę, by zobaczyć, że dwa olbrzymy, które strzegły progu, zniknęły.

Coś mi mówiło, że są nie dalej, jak po drugiej stronie aksamitnych kotar zasłaniających drzwi.

— Gdyby nie to, że Król Odkrywców wie wszystko — zaczął znów swoją śpiewkę Chang Li Ching — ze zdumieniem pomyślałbym, że słyszał już moje nędzne imię.

— Słyszał? A któż nie słyszał? — odpaliłem z miejsca. — Czyż słowo change w języku angielskim nie pochodzi od Chang? Change znaczy „zmienić” i właśnie to dzieje się z poglądami najmądrzejszych ludzi, gdy objawi im się mądrość Chang Li Chinga! — Spróbowałem skończyć z tą komedią, która mnie nużyła. — Dziękuję za to, że pański człowiek uratował mi życie, kiedy szedłem korytarzem.

Rozłożył obydwie ręce nad stołem.

— Tylko z obawy, iż odór tak podłej krwi będzie nieznośny dla wytwornych nozdrzy Cesarza Detektywów, kazałem szybko zabić to nieczyste stworzenie dokuczające jego ekscelencji. Jeśli się pomyliłem i wolałby pan, żeby go krajać po kawałku, mogę tylko zaoferować jednego z moich synów: niech zginie w torturach zamiast tamtego nędznika.

— A niech sobie żyje zdrowo — odparłem niedbale i przystąpiłem do sprawy. — Nie dokuczałbym panu, gdyby nie fakt, że nic nie wiem. I tylko pańska wielka mądrość może mnie wesprzeć i przywrócić mi normalną zdolność rozeznania.

— Nikt nie pyta ślepcę o drogę — zauważył stary szachraj przechylając głowę na bok. — Czyż gwiazda, nawet przy najlepszych chęciach, może pomóc księżycowi? Jego ekscelencja raczy schlebiać Chang Li Chin-gowi kazać mu myśleć, że mógłby dodać coś do wiedzy wielkiego człowieka, lecz kimże jest Chang, by psuł szuki swemu panu, nawet za cenę własnej śmieszności?

Przyjąłem te słowa za znak, że gotów jest wysłuchać moich pytań.

— Chciałbym się dowiedzieć, kto zabił Wang Ma i Wan Lan, służące Lilian Shan.

Bawił się pasemkiem swojej rzadkiej brody nawijając włosy na chudy, blady palec.

— Czyż ten, kto ściga jelenia, spojrzysz na zająca? — zapytał. — Gdy tak wspaniałą myśliwy udaje, że chodzi mu o śmierć służących, cóż może myśleć Chang? Tylko to, że wielki człowiek raczy ukrywać swój prawdziwy cel. Jednakże skoro zmarłe były tylko służącymi, można by pomyśleć, że niegodny Chang Li Ching, jako jeden z tłumu bezimiennych stworzeń, które nic nie znaczą, może wiedzieć coś o zmarłych. Czyż szczury nie znają obyczajów szczurów?

Gadał w ten sposób przez parę minut, a ja siedziałem i słuchałem przyglądając się jego okrągłej, chytrej twarzy jak maska i miałem nadzieję, że się czegoś dowiem. Nie dowiedziałem się niczego.

— Moja ignorancja jest większa, niż sam się zuchwale spodziewałem — zakończył Chang swoją przemowę. — Odpowiedź na proste pytanie, które pan zadał, przekracza możliwości mojego zamrozonego umysłu. Nie wiem, kto zabił Wang Ma i Wan Lan.

Wyszczerzyłem do niego zęby i zadałem inne pytanie.

— Gdzie mogę znaleźć Hoo Luna i Yin Hunga?

— I znowu czuję się pogrążony w mojej niewiedzy jak w błocie — zamruczał — pocieszając się jedynie myślą, że Mistrz Rozwiązywania Zagadek zna odpowiedź na własne pytania i raczy ukrywać przed Changiem swój niezawodnie osiągnięty już cel.

I tyle z tego miałem.

Nastąpiły dalsze szalone pochlebstwa, dalsze zapewnienia o wiecznej czci i miłości, po czym ruszyłem za moim przewodnikiem o karku jak kawałek powrozu poprzez kręte korytarze, mroczne pokoje i w górę, i w dół po chwiejących się schodach.

Przy wyjściu — już po zdjęciu żelaznych sztab — staruszek wyłuskał zza koszuli mój rewolwer i wręczył mi go. Zdusiłem w sobie chęć sprawdzenia od razu na miejscu, czy z nim czegoś nie robiono. Zamiast tego wsunąłem rewolwer do kieszeni i przestąpiłem próg.

— Dzięki za zastrzelenie tego tam na górze — powiedziałem.

Chińczyk chrząknął, uklonił się i zamknął drzwi.

Doszedłem do Stockton Street, skręciłem w kierunku biura i idąc powoli znęcałem się nad swoim mózgiem.

Najpierw zastanówmy się nad śmiercią „Głuchoniemego” Uhla. Czy była przygotowana zaważasz, żeby ukarać partacza i mnie odpowiednio nastawić? Ale jak? I dlaczego? Żeby miał poczucie długu wobec Chińczyków. A jeśli tak, to po co? Czy też był to może tylko jeden z tych zagadkowych numerów, które Chińczycy tak lubią? Odsunąłem tę sprawę na bok i skupiłem myśli na małym, otyłym człowieczku w purpurowej szacie.

Podobał mi się. Miał poczucie humoru, tęgi łeb, odwagę, wszystko. Wsa-

dzieć go do mamra to byłoby coś, czym człowiek chętnie pochwaliby się przed bliskimi. Był moim ideałem przeciwnika. Ale wcale nie zamierzałem sobie wmawiać, że już mam jakąś szansę. Głuchoniemy wskazał na związek istniejący między Chang Li Chingiem i Swistakiem z hotelu Irvington. Głuchoniemy zareagował, gdy oskarżyłem go, że jest zamieszany w zabójstwa w domu Shan. Tyle miałem. I to było wszystko, prócz tego, że Chang ani słowem nie dowiódł, że nie jest zainteresowany kłopotami Lilian Shan.

W świetle tych faktów można było przypuszczać, że śmierć Uhla nie była zaaranżowanym przedstawieniem. Bardziej prawdopodobne wydawało się, że zauważył on moje przyjście, usiłował mnie sprzątnąć i został zabity przez mojego przewodnika, ponieważ uniemożliwiłby posłuchanie, którego Chang mi udzielił. Życie Uhla niewiele było warte w oczach Chińczyka lub kogokolwiek innego.

Jak dotąd wcale nie czułem się niezadowolony z mojego dnia pracy. Nie dokonałem niczego wielkiego, ale zyskałem spojrzenie na to, co mnie czeka. Jeśli biłem głową o kamienny mur, to przynajmniej wiedziałem już, gdzie jest ten mur i zobaczyłem, do kogo należy.

W biurze czekała na mnie wiadomość od Dicka Foleya. Wynajął mieszkanie od ulicy, naprzeciw hotelu Irvington, i przez parę godzin śledził Swistaka.

Swistak zabawił pół godziny w lokalu „Grubas” Thomsona na Market Street rozmawiając z właścicielem i kilku spekulantami, którzy tam stale przesiadują. Potem wziął taksówkę na O’Farrell Street, gdzie nacisnął jeden z dzwonek przy wejściu do domu „The Glenway”. Dzwonił bezskutecznie, więc posłużył się własnym kluczem i wszedł. Po godzinie wyszedł i wrócił do hotelu. Dick nie mógł powiedzieć, który dzwonek nacisnął i jakie mieszkanie odwiedził.

Zadzwoń do Lilian Shan.

— Czy będzie pani w domu dziś wieczorem? — spytałem. — Mam coś, co chciałbym z panią omówić, ale nie przez telefon.

— Będę w domu do pół do ósmej.

— W porządku. Przyjadę.

Było piętnaście po siódmej, kiedy wynajęty samochód przywiózł mnie pod jej drzwi. Otworzyła je sama. Dunka, która zajmowała się domem do czasu, aż przyjdzie nowa służba, była tu tylko w dzień; na noc wracała do własnego domu o milę w głąb lądu.

Wieczorowa suknia, w której wystąpiła Lilian Shan, była z rodzaju tych surowych, ale pozwalała przypuszczać, że gdyby Lilian zrezygnowała z okularów i zadbała o siebie, mogłaby wyglądać o wiele bardziej kobieco. Zaprowadziła mnie na górę do biblioteki, gdzie dobrze odżywiony młodzieniec lat dwudziestu kilku w wieczorowym garniturze wstał z krzesła, gdy weszliśmy — zgrabny chłopiec o jasnych włosach i gładkiej twarzy.

Nazywał się, jak usłyszałem przy powitaniu, Garthorne. Dziewczyna najwyraźniej chciała konferencję ze mną odbyć w jego obecności. Ja

nie chciałem. Gdy zrobiłem wszystko — z wyjątkiem postawienia sprawy otwarcie — by dać jej do zrozumienia, że chcę z nią mówić w cztery oczy, przeprosiła swego gościa zwracając się do niego po imieniu, Jack, i zaprowadziła mnie do innego pokoju. Byłem już trochę zniecierpliwiony.

— Kto to taki? —

spytałem. Spojrzała na mnie unosząc brwi.

— Pan Jack Garthorne — powiedziała.

— Dobrze go pani zna?

— Czy wolno spytać, dlaczego to pana interesuje?

— Wolno. Pan Jack Garthorne nie podoba mi się.

— Nie podoba się?

Coś innego przyszło mi do głowy.

— Gdzie on mieszka?

Podawała mi jakiś numer na o'Farrell Street.

— Czy to „The Glenway”?

— Tak mi się zdaje. — Patrzyła na mnie z całkowitą obojętnością. — Zechce mi pan wyjaśnić?

— Jeszcze jedno pytanie i potem wyjaśnię. Czy zna pani Chińczyka, który nazywa się Chang Li Ching?

— Nie.

— W porządku. Powiem pani o Garthornie. Dotychczas udało mi się wpaść na dwa różne tropy związane z pani kłopotami. Jeden z nich prowadzi do Chang Li Chinga z Chinatown, a drugi do niejakiego Conyer-sa, który już raz siedział. Obecny tu Jack Garthorne był dziś w Chinatown. Widziałem go, jak wychodził z jakiejś piwnicy, prawdopodobnie połączonej z domem Chang Li Chinga. Były przestępca Conyers odwiedził dziś wczesnym popołudniem dom, w którym mieszka Garthorne.

Otworzyła usta, potem je zamknęła.

— Ależ to absurd! — wyrzuciła z siebie. — Znam pana Garthorne'a od pewnego czasu i...

— Dokładnie jak długo?

— Długo... parę miesięcy.

— Jak pani go poznała?

— Przez moją koleżankę z college'u.

— Z czego on żyje?

Zamilkła i

zesztyniała.

— Niech mnie pani posłucha, panno Shan — powiedziałem. — Ten Garthorne może być w porządku, ale muszę sprawę wyjaśnić. Nie zrobię mu krzywdy, jeśli jest czysty. Chcę wiedzieć, co pani o nim wie.

Słowo po słowie dowiedziałem się. Był, w każdym razie mówiła, że był, najmłodszym synem znanej rodziny Richmondów w stanie Wirginia, chwilowo w niełasce z powodu jakichś młodzieńczych wybryków. Do San Francisco przyjechał przed czterema miesiącami — chciał poczekać, aż ojciec ochłonie z gniewu. Tymczasem matka zaopatrywała syna w pieniądze, aby na czas wygnania uchronić go od konieczności

pracy. Przywiózł list polecający od jednej z koleżanek Lilian Shan — jak mogłem się domyślać, Lilian Shan miała dla pana Garthorne'a dużo sympatii. Wiedząc już to wszystko spytałem:

— Pani wybiera się z nim gdzieś dziś wieczorem?

— Tak.

— Jego samochodem czy własnym?

Zmarszczyła brwi, ale odpowiedziała na moje pytanie.

— Jego. Pojedziemy do „Half Moon” na kolację.

— Wobec tego będę potrzebował klucza, ponieważ wrócę tutaj, kiedy wyjedziecie.

— Co takiego?

— Chcę tutaj wrócić i będę panią prosił, żeby nie pani nie mówiła o moich mniej lub więcej niegodnych podejrzeniach, ale sądzę, że on postanowił panią zabrać stąd na cały wieczór. Jeżeli w drodze powrotnej silnik wysiądzie, to proszę udawać, że panią to nie dziwi.

Zaniepokoiła się, ale nie chciała przyznać, że mogę mieć słuszność. Dostałem klucz, mimo wszystko, potem opowiedziałem jej o planowanym przez nas podstępie, który wymagał jej pomocy, ona zaś przyrzekła być we czwartek w naszym biurze o pół do dziesiątej rano.

Wyszedłem nie widząc już więcej Garthorne'a.

Gdy znalazłem się ponownie w wynajętym samochodzie, kazałem kierowcy zajechać do najbliższego osiedla, gdzie w domu towarowym kupiłem prymkę tytoniu do żucia, latarkę i pudełko naboji. Mam rewolwer kalibru 38 special, ale musiałem kupić słabsze naboje, ponieważ tych special sprzedawca nie miał na składzie.

Z zakupami w mojej kieszeni wyruszyliśmy z powrotem do domu Lilian Shan. Przy drugim zakręcie — licząc od jej domu — zatrzymałem wóz, zapłaciłem kierowcy i zwolniłem go. Resztę drogi zrobiłem na nogach.

Dom tonął w ciemnościach.

Wszedłem do środka najciszej, jak mogłem i pomagając sobie latarką przeczesalem cały dom od piwnicy po dach. Nikogo prócz mnie nie było. W kuchni splądrowałem lodówkę, żeby coś przegryźć. Popiłem to mlekiem. Miałem ochotę na kawę, ale kawa zbyt mocno pachnie.

Po tej kolacji usiadłem wygodnie na krześle w przejściu pomiędzy kuchnią i resztą domu. Po jednej stronie tego przejścia miałem schody wiodące do suterenu, po drugiej — schody na górę. Znajdowałem się w punkcie centralnym, gdzie przy wszystkich drzwiach pootwieranych — z wyjątkiem wejściowych — mogłem słyszeć wszystko.

Przeszła jedna godzina — w ciszy, nie licząc odgłosu samochodów przejeżdżających drogą odległą o trzysta metrów i szumu Pacyfiku w małej zatoczce na dole. Zułem moją prymkę tytoniu, zamiastkę papierosa i próbowałem policzyć, ile to godzin w życiu spędziłem w taki sposób, siedząc albo stojąc i czekając, aż się coś wydarzy.

Zadzwonił telefon.

Pozwoliłem mu dzwonić. Mogła to być Lilian Shan wzywająca pomocy, lecz nie wolno mi było ryzykować. Najbardziej prawdopodobne, że to jakiś bandzior próbuje sprawdzić, czy ktoś jest w domu.

Minęło drugie pół godziny, od oceanu powiała bryza, zaszumiały drzewa na dworze.

Dobiegł mnie jakiś odgłos, który nie był ani wiatrem, ani szumem morza czy przejeżdżającego samochodu.

Coś gdzieś skrzypnęło. Przy oknie, ale nie wiedziałem, przy którym. Rzuciłem moją prymkę tytoniu, wyciągnąłem rewolwer i latarkę.

Znow skrzypnęło, mocniej.

Ktoś majstrował przy jednym z okien – za głośno. Brzęknęła klamka i coś uderzyło o szybę. Nabierają mnie. Ktokolwiek by to był, mógł rozbić szkło czyniąc o wiele mniej hałasu.

Wstałem, ale nie opuszczałem swego miejsca. Ten numer z oknem miał odwrócić moją uwagę od kogoś, kto mógł już być w domu. Przestałem się tym przejmować i spróbowałem zajrzeć do kuchni. Za czarno tam było, żeby cokolwiek zobaczyć. Nic nie zobaczyłem, nic nie usłyszałem.

Z kuchni powiało na mnie wilgotnym powietrzem.

Na to należało zwrócić uwagę. Miałem towarzysza i to zreczniejszego ode mnie. Potrafił otwierać drzwi albo okna tuż pod moim nosem. Niedobrze.

Porzuciłem krzesło i przenosząc ciężar ciała na gumowe obcasy cofałem się, póki nie poczułem plecami drzwi od piwnicy. Coraz mniej podobała mi się ta zabawa. Lubię równy – albo więcej niż równy – podział kosztów i zysków, a na to się nie zanosilo.

Dlatego też, kiedy cienka, chwiejna smuga światła padając z kuchni musnęła krzesło stojące w przejściu, byłem na trzecim stopniu schodów wiodących do piwnicy. Przyłgnałem plecami do ściany.

Światło przez parę sekund zatrzymało się na krześle, potem obiegło korytarz i sięgnęło do pokoju. Widziałem jedynie tę smugę światła, nic poza tym.

Dobiegły mnie nowe odgłosy – pomruk silników samochodowych tuż koło domu, od strony drogi, miękkie stapania nóg na kuchennym ganku, potem na linoleum kuchennej podłogi, stapanie wielu nóg. Poczulem zapach nie budzący wątpliwości – zapach nie mytych Chińczyków.

Potem przestałem się tym interesować – miałem mnóstwo roboty w moim najbliższym otoczeniu.

Właściciel latarki znalazł się u szczytu schodów do piwnicy. Nie mogłem go dojrzeć – moje oczy były zmęczone wpatrywaniem się w światło.

Pierwszy cienki promień skierowany w dół ominął mnie o parę centymetrów; dało mi to czas na ustalenie pewnych danych. Jeśli facet był średniego wzrostu, to – przycząjony, z latarką w lewej ręce i bronią

w prawej — musiał mieć głowę jakieś czterdzieści pięć centymetrów nad źródłem światła, tyle samo za nim i około dwudziestu centymetrów na lewo ode mnie.

Światło zakohysało się na boki i trafiło na moją nogę.

Wycelowalem w punkt, który określiłem sobie w ciemności. Jego strzał osmalil mi policzek. Wyciągnął ramię, by mnie złapać. Uchyliłem się i Chińczyk dał nura do piwnicy błysnąwszy po drodze złotymi zębami.

Dom wypełniły okrzyki „A, jej!” i tupot nóg.

Musiałem ruszyć z miejsca, bo inaczej zostałbym zepchnięty.

Na dole groziła mi pułapka, wróciłem więc do przejścia koło kuchni. Roilo się tam od cuchnących ciał. Jakies ręce i jakies zęby zaczęły drzeć na mnie ubranie. Niech to wszyscy diabli! Z całą pewnością wpadłem, ale w co?

Znalazłem się w środku dzikiej szamotaniny, wśród niewidocznych postaci, które biły się ze sobą, mocowały, szarpały, jęcząc i rżąc. Wir walki znosił mnie do kuchni. Poddając się temu waliłem pięściami do koła, biłem głową, kopałem.

Czyjś piskliwy głos wykrzykiwał po chińsku jakies rozkazy.

Unoszony do kuchni otarłem się ramieniem o framugę drzwi. Opierałem się ze wszystkich sił wrogom, których nie widziałem, ale bałem się użyć broni, którą wciąż ściskałem w dłoni.

Byłem tylko częścią tej nieprzytomnej przepychanki. Jeden strzał — i stanę się jej ośrodkiem. Te oszalała hałastrę opanowała panika. Gdybym zwrócił na siebie uwagę, rozdarto by mnie na strzępy.

Poddawałem się, więc kopiąc wszystko, co napotkałem po drodze i wszystkich dokoła, również przez wszystkich kopany. Zaplątało mi się pod nogi wiadro.

Upadłem przewracając moich sąsiadów, przetoczyłem się przez jakies ciało, poczułem czyjąś stopę na twarzy, usunąłem się spod niej i wylądowałem w kącie. Blaszane wiadro nadal mi przeszkadzało.

Bogu niech będą dzięki za to wiadro!

Chciałem, żeby ci ludzie sobie poszli. Nieważne, kim i czym byli, jeśli odejdą w pokoju, przebaczę im wszystkie grzechy.

Wsunąłem rewolwer do wiadra i strzeliłem. Rozległ się straszny huk. Jakby ktoś rzucił granat.

Strzeliłem do wiadra jeszcze raz i zaświtał mi inny pomysł. Wetknąłem do ust dwa palce lewej ręki i gwizdnałem, jak mogłem najgłośniejsz, ładując w wiadro wszystkie naboje.

Cóż za rozkoszny huk!

Gdy zabrakło mi naboarów, a w płucach powietrza, zostałem sam. Byłem bardzo zadowolony. Zrozumiałem, dlaczego mężczyźni odchodzą i żyją samotnie w jaskiniach. Nie ganilem ich za to!

Siedząc sam, w mroku, naładowałem rewolwer.

Na czworakach znalazłem drogę do otwartych drzwi kuchni i wyjrzałem w ciemność, która niczego mi nie powiedziała. Z zatoczki dobiegał

chlepczący plusk fal. Z drugiej strony domu rozległ się warkot silników. Miałem nadzieję, że to moi przyjaciele zabierali się do odjazdu.

Przekręciłem klucz w zamku i zapaliłem światło. Kuchnia nie była aż tak strasznie zdemolowana, jak się spodziewałem. Parę rondli i naczyń na podłodze, jedno złamane krzesło, w powietrzu zapach nie mytych ciał. Ale to było wszystko, jeśli nie liczyć rękawa z niebieskiej bawełny na środku kuchni, słomianego sandała blisko drzwi do korytarza i obok sandała garści krótkich czarnych włosów ze śladami krwi.

W piwnicy nie znalazłem człowieka, którego tam posłałem. Otwarte drzwi wskazywały drogę jego ucieczki. Była tam jego latarka i moja, i trochę jego krwi.

Znalazłem się z powrotem na górze i wyszedłem przed dom. Drzwi wejściowe były otwarte. Dywany skopane. Na podłodze leżała rozbita niebieska waza. Przesunięto z miejsca stół i przewrócono parę krzesel. Znalazłem stary, zatłuszczony brązowy kapelusz z filcu pozbawiony zarówno wewnętrznej opaski, jak i wstążki. Znalazłem pobrudzoną fotografię prezydenta Coolidge'a — najwyraźniej wyciętą z jakiejś chińskiej gazety — i sześć papierosowych gilz.

Na piętrze nie znalazłem nic, co by wskazywało na to, że moi goście tam zaglądali.

Było pół do trzeciej nad ranem, gdy usłyszałem zajeżdżający przed dom samochód. Wyrzuciłem z okna sypialni Lilian Shan na piętrze. Zegnała się z Jackiem Garthorne'em.

Wróciłem do biblioteki, by tam na nią poczekać.

— Nic się nie stało? — To były jej pierwsze słowa, a zabrzmiały niemal błagalnie.

— Owszem — odpowiedziałem — i przypuszczam, że pani miała kłopoty z samochodem.

Przez chwilę myślałem, że skłamię, ale skinęła głową i osunęła się na fotel tracąc coś ze swojej zwykłej sztywności.

— Miałem tu duże towarzystwo — powiedziałem. — Ale nie mogę się pochwalić, że dużo o nim wiem. Prawdę mówiąc ugryzłem więcej, niż mogłem przełknąć i muszę być zadowolony, że przepędziłem całą zgraję.

— Nie dzwonił pan po szeryfa? — Zadała to pytanie trochę dziwnym tonem.

— Nie, jeszcze nie chcę, żeby aresztowano Garthorne'a.

To wyrwało ją z apatii. Wstała, wyprostowała się dumnie i powiedziała lodowatym tonem:

— Nie chcę więcej o tym słyszeć.

W porządku, jeśli chodzi o mnie, ale:

— Nic mi pani nie powiedziała, mam nadzieję?

— Czy mi pani powiedziałam? — Wydawała się zdumiona. — Czy sądzi pan, że chciałabym go obrazić powtarzając mu pańskie domysły, absurdalne domysły?

— To świetnie — pochwaliłem jej dyskrecję, jeśli nie poglądną na moje



teorie. — No cóż, zostaję tu na noc. Jest jedna szansa na sto, że coś się może przydarzyć, ale wolę być pewny.

Nie robiła wrażenia zachwyconej tym pomysłem, ale w końcu poszła spać.

Oczywiście nic się nie stało aż do wschodu słońca. Opuściłem dom, gdy tylko zrobiło się jasno i jeszcze raz przebywałem okolice. Wszędzie były ślady stóp, wiodące od brzegu zatoczki do podjazdu. Darń przy podjeździe tu i ówdzie była zdarta, gdzie samochody zawracały niedbale.

Pożyczyłem sobie z garażu Lilian Shan samochód i wróciłem do San Francisco, zanim ranek dobiegł końca.

W biurze poprosiłem Starego, żeby przydzielił Jackowi Garthorne'owi anioła stróża; żeby stary kapelusz, latarkę, sandał i resztę moich pamiątek poddał badaniom laboratoryjnym i żeby kazał zebrać ślady palców, ślady stóp, ślady zębów i tak dalej, i żeby nasza filia w Richmond dowiedziała się, kim są Garthornowie. Potem poszedłem zobaczyć się z moim filipińskim pomagierem.

Był w ponurym nastroju.

— O co chodzi? — spytałem. — Ktoś cię pobił?

— O nie, proszę pana — zaprotestował. — Ale pewnie marny ze mnie detektyw. Próbuje śledzić jednego gościa, a on skręca za róg i ani śladu po nim.

— Kto to był i co robił?

— Nie wiem, proszę pana. Są cztery automobile, z których wysiadają i wchodzi do piwnicy ludzie, co to już panu mówiłem: obcy Chińczycy. Kiedy weszli, jeden człowiek wychodzi. Ma bandaż na czole, na bandażu kapelusz. I szybko odchodzi. Próbuje iść za nim, ale on skręca za róg i nie ma go.

— O której to wszystko się wydarzyło?

— Może była dwunasta.

— A mogło być później albo wcześniej?

— Tak, proszę pana.

Niewątpliwie chodziło o moich gości. Człowiek, którego Cipriano próbował śledzić, mógł być tym, którego zdzieliłem pięścią.

Filipińczyk nie pomyślał, żeby zapisać numery samochodów. Nie wiedział, czy kierowcami byli biali czy Chińczycy, i nawet jakiej marki były te samochody.

— Świetnie się spisales — zapewniłem go. — Spróbuj znowu dzisiaj wieczór. Nie przejmuj się, na pewno się tam dostaniesz.

Od niego poszedłem zadzwonić do przybytku sprawiedliwości. Dowiedziałem się, że o śmierci „Głuchoniemego” Uhla nie było doniesienia.

Dwadzieścia minut później objąłem sobie kostki dłoni o frontowe drzwi Chang Li Chinga.

\*

Tym razem drzwi otworzył nie ten staruszek z szujką jak kawałek powrozu, tylko młody Chińczyk z szeroko uśmiechniętą, ospowatą twarzą.

— Pan chce widzieć Chang Li Chinga — powiedział, zanim zdążyłem się odezwać i odsunął się na bok pozwalając mi wejść.

Wszedłem i czekałem, aż założy wszystkie sztaby i kłódki. Poszliśmy do Changa krótszą drogą niż poprzednio, lecz wciąż daleką od prostej. Idąc za moim przewodnikiem bawiłem się przez chwilę szkicowaniem w myśli wykresu naszej trasy, ale było to zbyt skomplikowane i dałem za wygraną.

Pokój obwieszony aksamitnymi zasłonami był pusty, kiedy mój przewodnik wprowadził mnie, uklonił się i szczerząc zęby odszedł. Usiadłem na krześle blisko stołu i czekałem.

Chang Li Ching zrezygnował z teatralnych trików i nie zjawił się bezgłośnie jak duch. Usłyszałem jego kroki w miękkich pantoflach, zanim rozsunął zasłony i wszedł. Był sam, jego białe wąsy nastroszyły się w pa-triarchalnym, dobrotliwym uśmiechu.

— Zwycięzca Obcych Hord ponownie raczył zaszczyć moją rezydencję — powitał mnie i długo bawił się tym samym rodzajem nonsensów, jakich musiałem wysłuchać podczas mojej pierwszej wizyty. Część poświęcona Zwycięzcy Obcych Hord miała ton chłodny — odnosiła się do wydarzeń ostatniej nocy.

— Zbyt późno dowiedziałem się, z kim mam do czynienia i skrzywdziłem wczoraj jednego z pańskich służących — powiedziałem, kiedy na chwilę słychać swój zapas kwiecistej mowy. — Wiem, że niczym nie mogę okupić strasznego uczynku, ale mam nadzieję, że każe mi pan podciąć gardło i pozwoli, abym w akcie skruchy wykrwawił się na śmierć w jednym z pańskich pojemników na śmieci.

Cichutkie westchnienie, które mogło być również stłumionym chichotem, poruszyło wargi starca, a purpurowa czapeczka zadrżała.

— Pogromca Maruderów wie wszystko — wyszeptał z ironią — nawet to, jakim rodzajem hałasu odpędzić demony. Jeśli twierdzi, że człowiek, którego uderzył, był sługą Chang Li Chinga, to kimże jest Chang, by temu przeczył?

Spróbowałem zażyć go z mańki.

— Nie wiem wszystkiego, nie wiem nawet, dlaczego policja dotąd nie słyszała o śmierci człowieka, który został tu wczoraj zastrzelony.

Zanurzył jedną dłoń w swojej białej brodzie i zaczął się bawić włosami.

— Nie słyszałem o tej śmierci — odparł.

Mogłem się domyślić, co nastąpi, ale wolałem to zobaczyć.

— Może pan spyta człowieka, który mnie tutaj wczoraj przyprowadził — zaproponowałem.

Chang Li Ching wziął ze stołu pałeczkę pokrytą materiałem i uderzył nią w gong wiszący na ozdobnym sznurze za jego ramieniem. Zasłony na przeciwległej ścianie rozsunęły się i zjawił się Chińczyk, który mnie tu przyprowadził.

— Czy śmierć zaszczycała wczoraj naszą jaskinię? — spytał Chang po angielsku.

— Nie, wielki panie — odpowiedział ospowaty.

— Wczoraj przyprowadził mnie tu zacny starzec — wyjaśniłem — a nie ten młodzieniec królewskiego rodu.

Chang udał zaskoczenie.

— Kto powitał wczoraj Wielkiego Króla Szpiegów? — spytał służącego stojącego przy drzwiach.

— Ja sam, wielki panie.

Wyszczrzyłem zęby do ospowatego, on do mnie, a Chang uśmiechnął się z wielką łaskawością.

— To bardzo zabawne — powiedział.

— Bardzo.

Ospowaty skłonił się i zamierzał dać nura w zastony, gdy za jego plecami zaszurały po podłodze czyjeś za duże buty. Błyskawicznie odwrócił się. Stał nad nim jeden z dwu zapaśników olbrzymów, których widziałem tu poprzedniego dnia. Oczy rnu błyszczały, był podniecony i głośno coś szwargotał. Ospowaty odciął mu się natychmiast. Chang Li Ching uciszył obydwóch ostrym tonem. Wszystko po chińsku — niczego nie mogłem zrozumieć.

— Czy Najwspanialszy Łowca Głów pozwoli swemu służącemu oddalić się na chwilę, by mógł dopilnować przygnębiających spraw domowych?

— Jasne.

Chang ukłonił mi się złożywszy obie dłonie i zwrócił się do olbrzyma:

— Zostaniesz tu i będziesz strzegł spokoju wielkiego człowieka, a każde jego życzenie ma być natychmiast spełnione.

Zapaśnik skłonił się i odsunął na bok, żeby przepuścić Changą razem z ospowatym. Kotary z powrotem zsunęły się za nimi.

Nie traciłem słów w żadnym języku dla tego osiłka przy drzwiach, tylko czekając na powrót Changą zająłem się paleniem papierosa. Wypaliłem go do połowy, gdy usłyszałem w głębi domu strzał, niezbyt daleko.

Olbrzym nachmurzył się.

Zabrzmiał jeszcze jeden strzał i w korytarzu dały się słyszeć kroki. Ktoś biegł. Spomiędzy kotar wynurzyła się twarz ospowatego. Wyszwargotał coś po chińsku do zapaśnika, ten ze zmarszczonymi brwiami obejrzał się na mnie i zaprotestował. Ospowaty nastawał na niego, zapaśnik jeszcze raz postąpił mu groźne spojrzenie, wybąkał — niech czeka — i obydwaj zniknęli.

Kończyłem palić przy stłumionych odgłosach bijatyki — chyba gdzieś piętro niżej. Zabrzmiały jeszcze dwa strzały, z dala od siebie. Czyjeś nogi przebiegły za drzwiami pokoju, w którym siedziałem. Ułynęło chyba z dziesięć minut, odkąd zostawiono mnie samego.

Stwierdziłem, że nie jestem sam.

Na przeciwległej do drzwi ścianie drgnęły kotary. Niebieski, zielony i srebrny aksamit wybrzuszył się na parę centymetrów i po chwili opadł. Powtórzyło się to jakieś trzy metry dalej: spokój, a potem lekkie drżenie aksamitu w dalekim kącie pokoju.

Ktoś — zasłonięty kotarami — skradał się wzdłuż ściany.

Rozparty na krześle pozwoliłem mu skradać się dalej. Nie ruszyłem nawet ręką. Jeśli drganie kotary oznacza czekające mnie kłopoty, to najmniejsze poruszenie z mojej strony może je tylko przyspieszyć.

Sledziłem ruch za kotarą przez całą długość ściany i połowę drugiej do miejsca, gdzie, wiedziałem, znajdowały się drzwi. Potem przez dłuższą chwilę był spokój. Gdy doszedłem do wniosku, że skradające się stworzenie wyszło przez drzwi, kotary nagle rozchyliły się i ten ktoś stanął przede mną.

Nie miała nawet półtora metra wzrostu — żywa figurka z porcelany zdjęta z czyjejs półki. Doskonały owal twarzyczki pięknej jak na obrazku podkreślały wspaniałe, czarne, jak polakierowane, włosy, leżące płasko na skroniach. Złote kolczyki kołysały się przy policzkach, we włosach tkwił motyl z jadeitu. Kaftan koloru lawendy lśniący od białych kamieni okrywał ją od brody po kolana, spod krótkich lawendowych spodni wyglądały lawendowe pończoszki, a nienaturalnie małe stopy tkwiły w sandałkach też lawendowych w kształcie kotka z żółtymi kamieniami zamiast oczu i egretami na miejscu wąsów. Szczytem wszystkiego było, że w tych szmatkach z modnego magazynu dla pańienek wydawała się niesamowicie krucha i delikatna. A jednak nie była rzeźbą ani obrazkiem. Stała przede mną mała kobietka z krwi i kości, jej czarne oczy były pełne lęku, a paluszki nerwowo szarpały jedwab przy piersi.

Podeszła bliżej szybkim niezgrabnym krokiem Chinek, którym krępują stopy, dwukrotnie odwróciła głowę, by spojrzeć na kotary zasłaniające drzwi.

Zerwałem się z krzesła, żeby wyjść jej naprzeciw.

Mówiła po angielsku bardzo słabo. Większości tego, co wypaplała, nie zrozumiałem, chociaż wydało mi się, że jej „mi-po-że” mogło ewentualnie znaczyć „pan mi pomoże”.

Skinąłem głową i podtrzymałem ją za łokcie, gdy potknęła się i oparła o mnie.

Poczęstowała mnie dalszą porcyjką swojej angielszczyzny, co wcale nie pomogło mi zrozumieć sytuacji, chyba że „nie-nic” znaczyło „niewolnica”, a „za-bać-to” — „zabrać stąd”.

— Chcesz, żeby cię stąd zabrać? — spytałem.

Pokiwała energicznie główką, która znajdowała się tuż pod moją brodą i czerwony kwiat jej ust złożył się w uśmiech, przy którym wszystkie uśmiechy, jakie mogłem sobie przypomnieć, wyglądały jak ohydne grymasy.

Mówiła dalej, ale nic z tego nie zrozumiałem. Wyjmując łokieć z mojej dłoni podciągnęła rękaw i odsłoniła przedramię, które jakiś artysta rzeźbił przez pół roku w kości słoniowej. Zobaczyłem na jej ciele pięć siniaków — ślady po palcach i zadrapania tam, gdzie paznokcie musiały wbić się w ciało.

Spuściła rękaw i uraczyła mnie jeszcze kilkoma słowami. Nic dla mnie nie znaczyły, ale brzmiały przyjemnie, jak dzwoneczki.

— W porządku — powiedziałem wyjmując rewolwer. — Jeśli chcesz iść ze mną, to idziemy.

Obydwie jej rączki spoczęły na rewolwerze. Energicznym ruchem odwróciła go lufą w dół, a potem patrząc mi w twarz w wielkim podnieceniu tłumaczyła coś i przeciągnęła dłoń po kołnierzu, żeby pokazać, jak podcina się gardło.

Pokręciłem głową na znak protestu i popchnąłem dziewczynę w stronę drzwi. Oparła się z oczami rozszerzonymi strachem. Jedną ręką sięgnęła do mojej kieszonki z zegarkiem. Pozwoliłem jej wyjąć zegarek. Czubek wyciągniętego paluszka położyła na dwunastce, potem zakreśliła koło trzy razy. Wydało mi się, że to zrozumiałem. Za trzydzieści sześć godzin od dzisiejszego południa będzie północ i czwartek.

— Tak — powiedziałem.

Rzuciła spojrzenie na drzwi i pociągnęła mnie do stołu, na którym stało nakrycie do herbaty. Paluszką zamoczonym w zimnej herbacie zaczęła rysować na inkrustowanej tafli stołu. Dwie równoległe linie wziąłem za ulicę. Przecięła ją drugą parą kresek. Trzecia para kresek przecięła drugą i była równoległa do pierwszej.

— Waverly Place? — zgadywałem.

Z wielkim zadowoleniem przytaknęła ruchem głowy.

Tam, gdzie wyobrażałem sobie wschodnią stronę Waverly Place, nakreśliła kwadrat — mógł oznaczać dom. W kwadracie umieściła coś, co mogło być różą. Zmarszczyłem brwi. Starła różę i na tym miejscu narysowała łamane koło dodając kropki. Wydało mi się, że wiem, o co chodzi. Róża była kapustą. A to było kartoflem. Kwadrat przedstawiał sklep warzywny, który zauważyłem na Waverly Place. Skinęła głową.

Paluszki jej pobiegły przez ulicę i narysowały kwadrat po drugiej stronie, a twarz zwróciła się ku mnie z wyrazem błagania, bym ją zrozumiał.

— Dom po drugiej stronie ulicy naprzeciw sklepu warzywnego — powiedziałem cedząc słowa, a gdy jej paluszek zastukał w moją kieszonkę z zegarkiem, dodałem: — jutro o północy.

Nie wiem, ile z tego zrozumiała, ale tak pokiwała główką, że jej kolczyki zakotływały się jak wahadła jakiegoś zwariowanego zegara.

Błyskawicznym ruchem schyliła się, chwyciła moją prawą dłoń, ucałowała ją i kotłując się i podskakując zniknęła za aksamitnymi kotarami.

Chustką do nosa starłem nakreśloną na stole mapę i spokojnie paliłem papierosa, gdy w jakieś dwadzieścia minut później powrócił Chang Li Ching.

Wkrótce potem pożegnałem go po wymianie kilku oszałamiających komplementów. Ospowaty odprowadził mnie do wyjścia.

W biurze nie było dla mnie nic nowego. Foleyowi nie udało się śledzić Świstaka ubiegłej nocy.

\*

Dziesięć minut po dziesiątej następnego ranka zjawiliśmy się z Lilian Shan u wejścia do agencji Fong Yicka na Washington Street.

— Proszę dać mi dwie minuty i potem wejść — powiedziałem do niej wysiadając z samochodu.

— Niech pan trzyma wóz na chodzie — poradziłem kierowcy. — Tak się może złożyć, że trzeba będzie wiać.

W agencji Fong Yicka wychudzony siwowłosy mężczyzna, o którym pomyślałem, że to pewnie znaleziony przez Starego Frank Paul, żując cygaro rozmawiał z pół tuzinem Chińczyków. Za podniszczonym kontuarem siedział gruby Chińczyk i przyglądał im się ze znudzeniem przez ogromne okulary w drucianej oprawie.

Spojrzałem na te pół tuzina. Trzeci ode mnie miał złamany nos — niski, krępej budowy facet. Odsuwając na bok pozostałych podszedłem do niego. Nie wiem, czym zamierzał mnie potraktować, może było to dżiu dżitsu albo jego chiński ekwiwalent. W każdym razie skulony i gotowy do skoku niebezpiecznie rozchylił sztywno napięte ramiona.

Chwyciłem go tu i tam, w końcu złapałem za kark wykręcając mu jedno ramię do tyłu.

Drugi Chińczyk skoczył mi na plecy. Wychudzony, siwowłosy jegomość przymierzył się i dał mu w zęby — Chińczyk poleciał w kąt i tam pozostał.

Tak się rzeczy miały, gdy weszła Lilian Shan.

Obróciłem tego ze złamanym nosem w jej stronę.

— Yin Hung — krzyknęła.

— Czy któryś z nich to Hoo Lun? — spytałem wskazując moich Widzów. '

Gwałtownie potrząsnęła głową i zaczęła szwargotać po chińsku z moim więźniem. Ten odpowiadał patrząc jej w oczy.

— Co pan chce z nim zrobić? — spytała niezupełnie panując nad swoim głosem.

— Oddać w ręce policji, żeby poczekał na szeryfa z San Mateo. Czy coś pani wyjaśnił?

— Nie.

Zacząłem popychać go w kierunku drzwi. Chińczyk w drucianych okularach zastąpił mi drogę chowając jedną rękę do tyłu.

— Nie można — powiedział.

Pchnąłem Yin Hunga na niego. Poleciał plecami na ścianę.

— Niech pani wyjdzie — krzyknąłem do dziewczyny.

Siwowłosy pan zatrzymał dwóch Chińczyków, którzy rzucili się do drzwi i potężnym pchnięciem postął ich pod drugą ścianę.

Wyszliśmy.

Na ulicy było spokojnie. Władowaliśmy się do taksówki i pojechaliśmy półtora bloku dalej, do komisariatu, gdzie wygarnąłem mojego więźnia z taksówki. Paul, właściciel rancza, powiedział, że nie wejdzie z nami, że było mu bardzo przyjemnie, ale ma jeszcze parę własnych spraw do załatwienia. Poszedł sobie na piechotę przez Kearny Street.

Do połowy już wychylona z taksówki Lilian Shan zmieniła zamiar.

— Jeśli to nie jest konieczne — powiedziała — ja też tam nie wejść. Poczekam tu na pana.

— Doskonale — i popchnąłem mojego więźnia przez chodnik na stopnie gmachu.

W środku powstała dość interesująca sytuacja.

Miejscowa policja wcale nie była zainteresowana osobą Yin Hunga, choć, oczywiście, gotowa zatrzymać go do dyspozycji szeryfa z San Mateo.

Yin Hung udawał, że nie mówi po angielsku, ja zaś byłem ciekaw, jaką ma historię do opowiedzenia, więc zajrzałem do pokoju, gdzie przesiadują tajniacy i znalazłem Billa Thode'a, odkomenderowanego na stałe do Chinatown i mówiącego trochę po chińsku.

On i Yin Hung pogadali ze sobą dobrą chwilę. Potem Bill spojrzął na mnie, odgryzł koniec cygara i rozparł się wygodnie na krześle.

— Według tego, co on mówi — powiedział Bill — ta Wan Lan i Lilian Shan pokłóciły się i następnego dnia Wan Lan zniknęła. Panna Shan i jej służąca, Wang Ma, mówiły, że Wan Lan wyjechała, ale Hoo Lun powiedział mi, że widział, jak Wang Ma paliła ubrania Wan Lun. Więc Hoo Lun i ten nasz żółtek pomyśleli, że coś jest nie tak, a następnego dnia byli tego zupełnie pewni. Ten nasz nie może znaleźć swojej łopaty wśród narzędzi ogrodowych. Znajduje ją wieczorem i jest jeszcze mokra od wilgotnej ziemi, a nie widział, żeby ktoś kopał w ogrodzie albo za domem. Więc on i Hoo Lun naradzili się, nie spodobało im się to wszystko i postanowili, że najlepiej będzie zwiać, zanim znikną tak samo, jak Wan Lun. To wszystko.

— Gdzie jest teraz Hoo Lun?

— Mówi, że nie wie.

— A więc Lilian Shan i Wang Ma były jeszcze w domu, kiedy ta para się wyniosła? — spytałem. — Jeszcze nie wyjechały wtedy na Wschód?

— On tak mówi.

— Czy domyśla się, dlaczego zginęła Wan Lan?

— Tego nie mogłem z niego wyciągnąć.

— Dziękuję ci, Bill. Powiesz szeryfowi, że go tu macie?

— Możesz być pewny.

Oczywiście, gdy wyszedłem na ulicę, nie było śladu po Lilian Shan i taksówce.

Wróciłem do hallu i z budki zadzwoniłem do biura. Wciąż brak wiadomości od Dicka Foleya, poza tym nic ważnego, również nic od tego, który chodził za Jackiem Garthorne'em. Nadszedł telegram z naszej filii w Richmond. Stwierdził, że Garthonowie to ludzie zamożni i znani w okolicy, że młody Jack zawsze był w kłopotach, że przed kilku miesiącami w jakiejś kawistrni pobił policjanta z brygady prohibicyjnej, że ojciec go wydziedziczył i wygnał z domu, ale matka najprawdopodobniej posyła mu pieniądze.

Zgadzało się z tym, co mi powiedziała dziewczyna.

Tramwaj dowiózł mnie do garażu, gdzie zamelinowałem sportowy

wóz, który pożyczyłem sobie z garażu Lilian Shan poprzedniego ranka. Pojechałem do domu Cipriana. Nie miał dla mnie żadnych ważnych wiadomości. Spędził noc kręcąc się po Chinatown, ale wrócił z niczym.

Byłem w nie najlepszym humorze, gdy skręciłem na zachód, żeby przez Golden Gate Park wejść na Ocean Boulevard. Sprawa posuwała się naprzód wcale nie tak żwawo, jakbym sobie życzył.

Na bulwarze porządnie dodałem gazu i słone powietrze trochę rozwiało moje niezadowolenie.

Gdy zadzwoniłem do drzwi Lilian Shan, otworzył mi mężczyzna o kościstej twarzy z różowawym wąsikiem. Znałem go, Tucker, zastępca szeryfa.

— Halo — powitał mnie. — Czego chcesz?

— Też jej szukam — powiedziałem.

— To szukaj dalej — wyszczerzył do mnie zęby. —

Nie zatrzymuję.

— Nie ma jej, co?

— No pewnie. Szwedka, co tu pracuje, mówi, że przyjechała i pół godziny przede mną wyjechała, a jestem tutaj mniej więcej około dziesięciu minut.

— Masz nakaz aresztowania? — spytałem.

— Jakbyś zgadł. Jej szofer wszystko wyśpiewał.

— Tak, słyszałem to. To ja jestem ten genialny chłopiec, który go zgarnął.

Spędziłem jeszcze pięć albo dziesięć minut na pogawędce z Tuckerem, a potem znów wlałem do samochodu.

— Dasz znać do agencji, kiedy ją nakryjesz? — spytałem zamknięwszy już drzwiczki samochodu.

— Jakbyś zgadł.

Skierowałem wóz z powrotem do San Francisco.

Tuż za Dały City minęła mnie jakaś taksówka jadąca na południe. Przez okno dojrzałem twarz Jacka Garthorne'a.

Chwyciłem za hamulec i pomachałem ręką. Taksówka zawróciła i cofając się podjechała do mnie. Garthorne otworzył drzwiczki, lecz pozostał w środku.

Wysiadłem i podszedłem do niego.

— Zastępca szeryfa czeka w domu Lilian Shan, jeżeli się pan tam udaje.

Zrobił wielkie oczy, a potem zmrużył powieki spoglądając na mnie podejrzliwie.

— Zjedźmy na bok i pogadajmy chwilę — zaprosiłem go.

Wysiadł z taksówki i przecięliśmy szosę w kierunku kilku głązów o zachęcającym wyglądem.

— Gdzie Lii... panna Shan? — spytał.

— Spytaj pan Świstaka — poradziłem mu.

Nie, ten blondynek nie był wiele wart. Dużo czasu upłynęło, zanim wyciągnął swoją spluwę. Spokojnie mu na to pozwoliłem.

— Co pan ma na myśli? — spytał.



Nie miałem niczego na myśli, po prostu chciałem zobaczyć, jak przyjmie moje słowa. Milczałem.

— Czy jest w rękach Świstaka?

— Nie sędzę — przyznałem, choć bardzo niechętnie. — Ale rzecz w tym, że musiała się ukryć, żeby jej nie powieszono za morderstwo. Świstak ją sygnął.

— Powieszono?

— Aha. Zastępca szeryfa, który czeka w jej domu, ma nakaz aresztowania za morderstwo.

Schował broń i w gardle mu zabulgotało.

— Pojadę tam. Powiem wszystko, co wiem!

Ruszył w stronę taksówki.

— Chwileczkę! — zawołałem. — Może by pan najpierw mnie powie dział, co pan wie. Ja przecież dla niej pracuję.

Zawrócił na pięcie.

— Tak, ma pan słuszność. Pan będzie wiedział, co robić.

— No więc, co pan wie naprawdę, jeśli w ogóle coś pan wie — spytałem, gdy stanął przede mną.

— Wiem wszystko! — krzyknął. — O śmierci tych dwóch i o wódzie i o...

— Spokojnie! Spokojnie! Nie warto marnować takich wiadomości dla kierowcy taksówki.

Uspokoił się, a ja zacząłem go sondować. Trwało prawie godzinę, zanim dowiedziałem się wszystkiego.

Historia jego młodego życia według tego, co mówił, zaczęła się od jego wyjazdu z domu, gdy wpadł w niełaskę z powodu pobicia policjanta z brygady prohibicyjnej. Przyjechał do San Francisco, żeby przeczekać gniew ojca. Matka przez ten czas dbała o kieszeń syna, lecz nie przysyłała tyle pieniędzy, ile mógłby wydać młody człowiek w mieście pełnym rozrywek.

W takiej był sytuacji, gdy spotkał Świstaka, który go przekonał, że chłopiec z jego powierzchownością mógłby łatwo zarobić parę groszy na przemyśle alkoholu, jeśli będzie robił, co mu każą. Garthorne zgodził się chętnie. Nie lubił prohibicji — była powodem większości jego kłopotów. Przemysł alkoholu miał dla niego romantyczny urok: strzały w ciemności, sygnały świetlne z prawej burty i tak dalej.

Wyglądało na to, że Świstak miał łodzie i alkohol, i czekających klientów, tylko nie miał gdzie wyładować towaru. Upatrzył sobie małą zatoczkę na wybrzeżu — idealne miejsce dla takich operacji. Była nie za blisko i nie za daleko od San Francisco. Z dwóch stron strzegły jej skały, od strony drogi zaśnieżał duży dom i wysokie żywopłoty. Gdyby mógł skorzystać z tego domu, byłoby po kłopotach: wyładowałby bimber w zatoczce, przeniósł do domu, przelał w niewinne opakowania, wyniósł przez frontowe drzwi do samochodów i dostarczył spragnionemu miastu.

Dom ten, powiedział Garthorne'owi, należy do pewnej Chinki, niejakiej

Lilian Shan, która ani go nie sprzeda, ani nie wynajmie. Garthorne miał nawiązać z nią znajomość — Swistak dysponował już listem polecającym od jednej jej koleżanki, dziewczyny, która notabene wiele razy upadła od czasu studiów. Następnie miał zaprzyjaźnić się z Lilian Shan na tyle, żeby podsunąć dziewczynie myśl o wykorzystaniu jej domu. Ściślej mówiąc wy badać, czy jest ona osobą, której można — mniej lub bardziej otwarcie — zaproponować udział w zyskach z imprezy Swistaka.

Garthorne wykonał swoje zadanie, w każdym razie pierwszą jego część: był już na dość poufalej stopie z Lilian Shan, gdy niespodziewanie wyjechała do Nowego Jorku, zawiadamiając go, że nie będzie jej przez parę miesięcy. Świetna okazja dla przemytników. Następnego dnia Garthorne zatelefonował do domu Lilian i dowiedział się, że Wang Ma pojechała ze swoją panią i dom jest na opiece pozostałej trójki służących.

Tyle wiedział z pierwszej ręki. Nie brał udziału w ładowaniu przemytników, chociaż miał na to ochotę. Swistak kazał mu trzymać się z daleka, aby po powrocie dziewczyny mógł grać swoją pierwotną rolę.

Swistak powiedział mu, że przekupił trójkę chińskich służących, żeby mu pomogli, a kucharka, Wan Lan, zginęła przy podziale pieniędzy, zabita przez swoich dwóch towarzyszy. W czasie nieobecności Lilian Shan transport alkoholu tylko jeden raz przeszedł przez jej dom. Nieoczekiwany powrót właścicielki popsuł wszystko. Część wódki została jeszcze w domu. Byli zmuszeni złapać pannę Shan i Wang Ma i wepchnąć do jakiejś szafy, póki się nie wyniesie towaru. Wang Ma została uduszona przypadkiem — zbyt ciasno zaciągnięto sznur.

Ale najgorszą komplikację stworzyło nadejście nowego transportu — miał być wyładowany w zatoczce w najbliższą środę i nie było sposobu na zawiadomienie łodzi, że miejsce jest trefne. Swistak posłał po naszego bohatera, kazał mu zabrać dziewczynę we środę i przetrzymać z dala od domu co najmniej do godziny drugiej nad ranem. Garthorne zaprosił ją na kolację w „Half Moon”. Przyjęła zaproszenie. Udał, że silnik samochodu nawalił i zatrzymał pannę do godziny pół do trzeciej. Później Swistak powiedział mu, że wszystko poszło gładko.

Potem musiałem zgadywać, o co właściwie chodzi temu chłopcu, bo jękał się i bękał coś, co niewiele miało sensu. Myślę, że można by to podsumować następująco: nie zastanawiał się, czy postępuje z dziewczyną przyzwoicie. Nie pociągła go — była zbyt surowa i poważna, mało kobieca. I niczego nie udawał — nawet nie próbował z nią flirtować. Potem zaskoczyło go nagłe odkrycie, że dziewczyna wcale nie była tak jak on obojętna. Był to dla niego wstrząs, sytuacja nie do zniesienia. Po raz pierwszy zobaczył rzecz we właściwym świetle. Przedtem uważał wszystko po prostu za dobry kawał. Obecność uczucia zmieniła to — nawet jeśli uczucie było tylko po jednej stronie.

— Powiedziałem Swistakowi dziś po południu, że kończę z tym.

— Jak mu się to spodobało?

— Nie bardzo. Prawdę mówiąc, musiałem go lekko zaprawić.

— Ach tak? I co pan zamierza teraz zrobić?

— Miałem zamiar zobaczyć się z panną Shan, powiedzieć jej prawdę, a potem... potem chyba zniknąć.

— I tak będzie najlepiej. Świstakowi mogło się nie spodobać, że dostał od pana.

— Ale teraz nie będę się nigdzie chować. Wydam się na łaskę i niełaskę panny Shan i powiem jej prawdę.

— Niech pan o tym nie myśli — poradziłem mu. — Nie trzeba. Za mało pan wie, żeby jej pomóc.

Nie było to prawdą, ponieważ Garthorne dobrze wiedział, że szofer i Hoo Lun byli jeszcze w domu przez cały dzień po wyjeździe Lilian Shan do Nowego Jorku. Ale jeszcze nie chciałem, żeby się wycofał z gry.

— Na pańskim miejscu — ciągnąłem — znalazłbym sobie jakiś cichy kącik i poczekał, aż dam panu znać. Ma pan takie miejsce?

— Taaak — powiedział powoli — mam... mam przyjaciela, który mnie ukryje... niedaleko Dzielnicy Łacińskiej.

— Niedaleko Dzielnicy Łacińskiej? Czy może w Chinatown? Kręciłem się tam niedawno. Na Waverly Place?

Podskoczył.

— Skąd pan wie?

— Jestem detektywem. Wiem wszystko. Słyszał pan o Chang Li Chingu?

— Nie. — Na jego twarzy odmalowało się prawdziwe zdziwienie.

Z trudem powstrzymałem się, żeby nie parsknąć śmiechem.

Kiedy pierwszy raz widziałem tego bubka, wychodził z domu na Wa-verly Place, a za nim, w otwartych drzwiach, zamajaczyła mi twarz jakiejś Chinki. Był to dom leżący naprzeciw sklepu warzywnego. Chinka, z którą rozmawiałem u Chang'a, uraczyła mnie gadką o niewolnicy i zaproszeniem do tego samego domu. Szlachetnego Jacka potraktowała tym samym, lecz nie wiedział, że dziewczynę coś łączy z Chang Li Chingiem, nie wiedział nawet, że Chang istnieje, nie wiedział, że Chang i Świstak to para wspólników. Teraz Jack ma kłopoty i chce schronić się właśnie u tej dziewczyny!

Nie powiem, żeby nie odpowiadał mi taki obrót sprawy. Jack wpadnie w pułapkę, ale to było mi obojętne albo raczej dawało nadzieję, że może mi się przydać.

— Jak nazywa się pańska przyjaciółka? — spytałem.

— Hsiu Hsiu.

— W porządku — poparłem jego szalony pomysł. — Niech pan idzie do niej. Doskonała kryjówka. Ale jeśli zechce posłać panu wiadomość przez jakiegoś chińskiego chłopca, to jak pana znajdzie?

— Po lewej stronie od wejścia są schody. Będzie musiał przeskoczyć drugi i trzeci stopień, ponieważ mają wmontowany alarm. Tak samo poręcz. Na drugim piętrze trzeba znowu skrócić w lewo. Korytarz jest ciemny. Drugie drzwi w korytarzu na prawo to drzwi do pokoju, w którym na przeciwległej ścianie jest szafa, a w niej drzwi zakryte starymi ubraniami. Te drzwi prowadzą do drugiego pokoju. Jest tam zwykle

trochę ludzi, będzie więc musiał poczekać na stosowną chwilę. W tym pokoju jest mały balkon, ha który można się dostać z jednego i drugiego okna. Balkonik jest obudowany i jeśli się dobrze pochylić, to człowieka nie widać ani z ulicy, ani z innych domów. Na drugim końcu balkonu są dwie luźno leżące deski, które zakrywają wejście do małego pokoiku pomiędzy ścianami, gdzie w podłodze są drzwi zapadowe do drugiego takiego samego pokoiku, i tam prawdopodobnie będę się ukrywał. Jest<sup>x</sup> stamtąd inne wyjście przez schody, ale nigdy tej drogi nie próbowałem.

Nieźle zawracanie głowy. Przypominało jakąś dziecinną zabawę. Ale referując mi takie baniałuki, nasz głuptasek nie zająknął się ani razu. Traktował to wszystko z powagą.

— A więc tak to wygląda! — powiedziałem. — Radzę udać się tam jak najprędzej i pozostać, póki nie przyślę wiadomości. Pozna pan mojego posłańca, lekko zezuje, a dla pewności dam mu hasło. „Na chybił trafił”, to będzie naszym hasłem. Czy te drzwi wejściowe są zamykane na klucz?

— Nie, nigdy ich nie zastałem zamkniętych. W domu mieszka ze czterdziestu albo pięćdziesięciu Chińczyków, może nawet stu. Więc nie przypuszczam, żeby kiedykolwiek zamykano wejście.

— Dobrze. A teraz niech pan zmyka.

Piętnaście po dziesiątej owego wieczoru otwierałem drzwi naprzeciw sklepu warzywnego przy Waverly Place — godzinę i trzy kwadranse wcześniej, niż byłem umówiony z Hsiu Hsiu. Pięć minut przed dziesiątą Dick Foley zadzwonił z wiadomością, że Świsłak wszedł do domu z czerwonymi drzwiami na Spofford Alley.

Znalazłem się w ciemnościach, cicho zamknąłem drzwi i skoncentrowałem się na dziecinnych wskazówkach Garthorne'a. Nic mi nie pomogła świadomość, że były głupie, ponieważ innej drogi nie znałem.

Ze schodami miałem trochę kłopotu, ale przebrnąłem przez drugi i trzeci stopień nie dotykając poręczy i poszedłem dalej. Znalazłem drugie drzwi w korytarzu, szafę w przyległym pokoju i drzwi w szafie. W szparach widać było światło. Nasłuchiwałem przez chwilę, ale niczego nie usłyszałem.

Popchnąłem drzwi, otworzyły się, pokój był pusty. Czuć było palącą się lampkę oliwną. Najbliższe okno otworzyłem bez najmniejszego szmeru, wbrew regułom gry. Jakiś skrzyp czy zgrzyt byłby ostrzegł Garthorne'a o niebezpieczeństwie.

Zgodnie z instrukcją przycupnąłem na balkonie, znalazłem luźne deski, pod którymi była czarna dziura. Spuściłem najpierw nogi i zsunąłem się w dół przechylając ciało pod pewnym kątem dla wygody. Był to rodzaj pochylni w ścianie, ciasna dziura, czego nie lubię. Szybko znalazłem się na dole: w długiej i wąskiej komórce jak schowek w ścianie.

Nie było tam żadnego światła. Zapaliłem latarkę i ujrzałem pokoik długości jakichś sześciu metrów i szerokości około półtora metra, wyposażony w stół, tapczan i dwa krzesła. Zająrzałem pod jedyny dywanik na podłodze. Były tam drzwi zapadowe tak prymitywnie wykonane, że nie można było ich wziąć za część podłogi.

Leżąc na brzuchu przyłożyłem do nich ucho. Nic nie usłyszałem. Uniósłem je na parę centymetrów.

Ciemność i jakieś szepty. Pociągnąłem przykrywą zapadnię i bez trudu odłożyłem na podłogę. Wetknąłem w otwór głowę aż po ramiona, aby stwierdzić, że pod spodem była druga taka sama zapadnia, najprawdopodobniej umieszczona w suficie pokoju leżącego pod moim pokojem.

Ostrożnie spuściłem się w dół i drewniana klapa pod moimi nogami ugięła się. Mógłbym się podciągnąć z powrotem, ale skoro drewno mi się poddawało, postanowiłem iść na całego.

Stałem na niej obydwoma nogami. Ustąpiła. Spadłem prosto w światło. Klapa nad moją głową zatrzasnęła się. Chwyciłem Hsiu Hsiu i zakryłem jej za ręką w samą porę, by powstrzymać krzyk.

— Halo! — powiedziałem do zdumionego Garthorne'a. — Mój posłaniec ma dziś wolne, więc sam przyszedłem.

— Halo! — wyszeptał z trudem.

Pokoik, w którym się znajdowałem, był powtórzeniem tego, z którego wypadłem, taki sam rodzaj komory wtłoczonej między ściany, chociaż tu w jednym końcu były nie pomalowane drewniane drzwi.

Przekazałem Hsiu Hsiu w ręce Garthorne'a.

— Niech siedzi cicho, póki ja...

Zamilkłem na dźwięk klucza w zamku. Skoczyłem pod ścianę obok drzwi w momencie, gdy uchyliły się kryjąc przed moim wzrokiem osobę wchodzącą.

Otworzyły się szerzej, ale nie szerzej niż niebieskie oczy Jacka Garthorne'a i jego usta. Poczekałem, aż drzwi otworzą się na całą szerokość i wtedy wyszedłem spoza nich mierząc z rewolweru.

Na progu stała królowa, albo ktoś taki.

Była to wysoka, dumnie wyprostowana kobieta. Dodawał jej wzrostu strój głowy w kształcie wielkiego motyla kapiącego klejnotami — łup z co najmniej tuzina jubilerskich sklepów. Miała na sobie szatę w kolorze ametystu przetykaną na górze złotem, a w dole mieniącą się wszystkimi kolorami tęczy. Ale co tam ubranie!

Czym była ona sama, najlepiej może wyjaśnię to w taki sposób. Hsiu Hsiu to mała, prawdziwa piękność, jaką sobie tylko można wymarzyć. Bez skazy! A oto zjawiała się królowa i Hsiu Hsiu z całą swoją pięknnością mogła się schować. Była jak płomień świecy przy blasku słońca. Była wciąż ładna — nawet ładniejsza od tej kobiety w drzwiach, jeśli chodzi o ścisłość, ale nie zwracało się na nią uwagi. Hsiu Hsiu była śliczną dziewczyną, a to królewskie zjawisko w drzwiach było — nie, słów mi brak!

— Mój Boże! — szepnął ochryple Garthorne. — Nie miałem pojęcia!

— Co pani tu robi? — zagadnąłem obcesowo tę kobietę.

Nie słyszała mnie. Patrzała na Hsiu jak tygrysyca na podwórzową

kotkę. Hsiu Hsiu patrzyła na nią jak podwórzowa kotka patrzyłaby na tygrysięcę. Garthorne spociał się na twarzy, usta wykrzywił mu żalony grymas.

— Co pani tu robi? — powtórzyłem podchodząc bliżej do Lilian Shan.

— Jestem tu, gdzie moje miejsce — odpowiedziała powoli nie spuszczać wzroku ze swojej niewolnicy. — Wróciłam do mojego ludu.

Zawracanie głowy! Zwróciłem się do Garthorne'a, który wciąż wytrzeszczał oczy.

— Niech pan zabierze Hsiu Hsiu na górę — powiedziałem — i żeby siedziała cicho, nawet gdyby ją pan miał udusić. Chcę porozmawiać z panną Shan.

Na wpół przytomny Garthorne podsunął stół pod drzwi zapadowe, wlaźł na stół, podciągnął się do góry i sięgnął po Hsiu Hsiu. Dziewczyzna kopnęła i drapała paznokciami, ale dźwignąłem ją do góry i podałem Garthorne'owi. Potem zamknąłem drzwi, przez które weszła Lilian Shan i odwróciłem się do niej.

— Jak się pani tu dostała? — zapytałem.

— Zostawiłam pana i pojechałam do domu wiedząc, co powie Yin Hung, ponieważ uprzedził mnie, gdy byliśmy sami. A kiedy znalazłam się w domu... kiedy znalazłam się w domu, postanowiłam przyjść tutaj, gdzie jest moje miejsce.

— Nonsens! — poprawiłem ją. — Po powrocie do domu znalazła tam pani wiadomość od Chang Li Chinga, który prosił... kazał pani tu przyjść.

Patrzyła na mnie bez słowa.

— Czego chciał Chang?

— Wydało mu się, że może mi pomóc — powiedziała — więc przyszłam i zostałam.

Jeszcze większa bzdura!

— Chang powiedział pani, że Garthorne jest w niebezpieczeństwie, bo zerwał ze Świstakiem.

— Ze Świstakiem?

— Zawarła pani układ z Changiem — oskarżyłem ją, nie zwracając uwagi na jej pytanie. Bardzo możliwe, że nie знаła Świstaka pod tym przezwiskiem.

Potrząsnęła głową dzwoniąc wszystkimi klejnotami.

— Nie zawarłam żadnego układu — powiedziała i wytrzymała moje spojrzenie z podejrzanym spokojem.

Nie wierzyłem jej.

— Dała pani swój dom Changowi, a w każdym razie prawo korzysta nia z tego domu w zamian za obietnicę, że — „tego bubka” chciałem powiedzieć, ale powiedziałem — Garthorne'a obroni przed Świstakiem, a panią przed prawem.

Wyprostowała się.

— Owszem. Tak zrobiłam — powiedziała spokojnie.

Z kobietą, która wyglądała jak prawdziwa królowa, nielatwo było sobie poradzić, w każdym razie nie w taki sposób, w jaki zamierzałem. Z pewnym wysiłkiem przypomniałem sobie, że znałem ją jako piekielnie brzydką dziewczynę w męskim ubraniu.

— Należą się pani baty — zmarszczyłem brwi. — Nie dość pani miała kłopotów, to jeszcze zadaje się pani z bandą krętaczy? Czy widziała pani Świstaka?

— Był tam na górze jakiś człowiek, ale nie wiem, jak się nazywa.

Przetrasnąłem kieszenie, znalazłem jego zdjęcie z więzienia i pokazałem jej.

— To on — powiedziała.

— Ładnego znalazła pani partnera —

wybuchnąłem. — Jak pani sobie wyobraża, ile warta jest jego obietnica w jakiegokolwiek sprawie?

— Nie on mi obiecał, tylko Chang Li Ching.

— Tak samo niedobrze. Są współnikami. O co chodziło?

I znów zaniemówiła, zesztyniała i uniosła brodę otwarcie patrząc mi w oczy. Ponieważ jej strój chińskiej księżniczki powiększył dystans między nami, wpadłem w złość.

— Niechże pani nie będzie wiecznym głuptasem — tłumaczyłem jej. — Pani sądzi, że ubiła dobry interes! A tymczasem nabrali panią! Jak pani myśli, po co im potrzebny pani dom?

Usiłowała poskromić mnie wzrokiem. Spróbowałem zaatakować ją z innej strony.

— Proszę posłuchać! Pani jest wszystko jedno, z kim wchodzi w układy. Niech pani spróbuje ze mną. Wciąż jestem lepszy od Świstaka o jeden wyrok sądowy, więc jeśli jego słowo się liczy, to moje powinno liczyć się więcej. Proszę mi powiedzieć, o co chodzi. Jeśli to jest w poło wie uczciwy interes, przyrzekam, że na czworakach wyczolgam się stąd i zapomnę o wszystkim. Jeśli mi pani nie powie, wystrzelę wszystko, co mam w lufie, przez najbliższe okno, jakie znaję. Zdziwi się pani, ile policji ściągnie jeden strzał w tej części miasta i to jak prędko.

Na tę groźbę lekko pobladła.

— Jeżeli powiem, obiecuje pan nic nie robić?

— Nie pamięta pani — zwróciłem jej uwagę — że będę milczał tylko wtedy, jeśli sprawa jest przynajmniej do połowy czysta.

Przygryzła wargi i zaplotła palce, a potem zaczęła.

— Chang Li Ching jest jednym z tych, co przeciwstawiają się japońskiej dominacji w Chinach. Od śmierci Sun Wena, czy Sun Yat Sena, jak go nazywają w południowych Chinach i tutaj, japoński nacisk na chiński rząd rośnie. Jest gorzej niż było dotąd. Chang Li Ching i jego przyjaciele kontynuują dzieło Sun Wena. Mają przeciw sobie własny rząd, więc muszą uzbroić patriotów, żeby oprzeć się japońskiej agresji, gdy nadejdzie pora. I do tego celu służy mój dom. Ładuje się tam karabiny i amunicję na łodzi, które dowożą to na statki czekające na pełnym morzu. Człowiek, którego nazywa pan Świstakiem, jest właścicielem statków, które przewożą broń do Chin.

— A śmierć służących? — zapytałem.

— Wan Lan była szpiegiem chińskiego rządu.

Myślę, że śmierć Wang

Ma była przypadkowa, chociaż ona także była podejrzana o szpiegostwo. Dla patrioty zabijanie zdrajców jest koniecznością, pan to chyba rozumie, prawda? Pana rodacy są tacy sami, kiedy ich ojczyzna jest w niebezpieczeństwie.

— Garthorne plółł mi coś o przemyście alkoholu. Co z tym?

— On w to wierzył — odpowiedziała z lekkim uśmiechem w stronę zapadni, za którą zniknął Garthorne. — Powiedzieli mu tak, ponieważ za mało go znali, żeby mu ufać. Dlatego też nie pozwolono mu być przy ładunku.

Położyła rękę na moim ramieniu.

— Odejdzie pan i będzie milczał, dobrze? — poprosiła. — Taka działalność sprzeczna jest z prawami pańskiego kraju, ale czyż nie łamie się cudzych praw, żeby ratować własny kraj? Czteryście milionów ludzi ma prawo bronić się przed wyzyskiem przez obcą rasę, prawda? Od dawna mój kraj stał się igraszką w rękach bardziej agresywnych narodów. Chińscy patrioci zapłacą każdą cenę, by lata hańby się skończyły. Chyba nie stanie pan na drodze do wolności mego narodu?

— Mam nadzieję, że pani naród zwycięży — powiedziałem. — Ale pani została oszukana. Jedyna broń, jaka przeszła przez pani dom, to ta w kieszeni! Trzeba by co najmniej roku, żeby w ten sposób przemyścić ładunek całego statku. Być może Chang wysyła broń do Chin. To prawdopodobne. Ale nie przez pani dom.

Tej nocy, gdy tam byłem, natknąłem się na kulisów, ale weszli od strony zatoki i odjechali samochodami. Możliwe, że Świstak zajmuje się dla Changą transportem broni i równocześnie przywozem kulisów. Za każdego może dostać od tysiąca dolarów w górę. Tyle o technice tej roboty. Świstak wysyła dla Changą broń i sprowadza dla siebie towar — kulisów i na pewno trochę opium — i bardzo dobrze na tym zarabia. Sam transport broni nie dałby mu tyle. A ładunek broni odbywa się zupełnie otwarcie na nadbrzeżu pod pozorem, że to co innego. Pani dom służy dla powrotnej tury. Chang może być związany z handlem kulisami i opium albo i nie, ale to pewne, jak dwa razy dwa cztery, że pozwoli Świstakowi na wszystko, czego ten zapragnie, byleby wysyłał broń do Chin. Teraz widzi pani, że panią wykantowano.

— Ale...

— Żadne ale! Pomagając Changowi bierze pani udział w handlu żywym towarem. Przypuszczam też, że obydwie służące zamordowano nie dlatego, że szpiegowały, tylko dlatego, że nie chciały pani zdradzić.

Zbladła okropnie i zachwiała się. Nie pozwoliłem jej oprzytomnieć.

— Czy sądzi pani, że Chang ufa Świstakowi? Czy robili wrażenie, że są przyjaciółmi?

— Chyba nie — odrzekła powoli. — Mówili coś o braku jednej łodzi.

To dobrze.

— Czy są tam jeszcze razem?

— Tak.



— Jak się tam idzie?

— W dół po tych schodach, prosto przez piwnicę i znów do góry. Byli w pokoju na prawo od schodów.

Chwała Bogu, miałem nareszcie jakieś czytelne wskazówki! Wskoczyłem na stół i zastukałem w sufit.

— Niech pan zejdzie, Garthorne, i weźmie ze sobą swoją przyzwoitkę. I niech mi się nikt stąd nie rusza na krok, zanim nie wrócę — powiedziałem smarkaczowi i Lilian Shan, gdyśmy się znaleźli wszyscy w komplecie. — Zabieram ze sobą Hsiu Hsiu. Chodźmy, siostrzyczko, chcę, żebyś porozmawiała z każdym złym człowiekiem, jakiego spotkam. Idziemy zobaczyć Chang Li Chinga, rozumiesz? — Zrobiłem groźną minę. — Ale jak tylko piśniesz, to ja — objąłem palcami jej szyję i lekko scisnąłem.

Zachichotała, co trochę zepsuło efekt.

— Do Changa — zakomenderowałem i trzymając ją za ramię popchnąłem w stronę drzwi.

Zeszliśmy do ciemnej piwnicy, przeszliśmy przez nią, znaleźliśmy następne schody i zaczęliśmy na nie wchodzić. Posuwaliśmy się powoli. Skrępowane stopy dziewczyny nie były zdolne do szybkiego kroku.

Na zakręcie schodów paliło się przymglone światelko. Mijaliśmy ten zakręt, gdy rozległy się za nami kroki. Czterech Chińczyków w pomiętych płaszczach nadeszło dolnym korytarzem, minęło schody i nie patrząc w naszą stronę poszło dalej.

Hsiu Hsiu otworzyła pasowy kwiat swoich ust i wydała krzyk, który można było usłyszeć w Oakland.

Zakląłem, puściłem ją i wbiegłem na schody. Tych czterech pobiegło za mną. U szczytu schodów zjawił się jeden z dwóch olbrzymów Changa z trzydziestocentymetrowym kawałkiem stali w potężnej łapie. Obejrzałem się.

Hsiu Hsiu siedziała u podnóża schodów z zadartą głową i wrzeszczała jak najęta z wyrazem rozbawienia na swojej lalkowatej twarzy. Jeden z goniących mnie Chińczyków odbezpieczał pistolet.

Nogi same poniosły mnie w górę ku temu ludożercy u szczytu schodów.

Gdy ujrzałem go zgiętego nade mną, wypaliłem. Kula przebiła mu gardło.

Gdy upadł obok mnie, poklepałem go łufą po twarzy.

Czyjaś ręka chwyciła mnie za kostkę. Trzymając się poręcz schodów cofnąłem drugą nogę. Zawadziłem o coś, ale nic mnie nie powstrzymało.

Gdy znalazłem się na szczycie schodów i skoczyłem ku drzwiom po prawej stronie, czyjś strzał odbił kawałek tynku na suficie.

Pchnąłem drzwi i wpadłem do środka.

Złapał mnie drugi z ludożerców; moje ciało wążące ponad dziewięćdziesiąt kilogramów złapał w locie jak chłopiec łapie piłkę.

W drugim końcu pokoju Chang Li Ching przeciągnął pulchnymi palcami po swojej rzadkiej bródce

i uśmiechnął się do mnie. Obok niego mężczyzna, o którym wiedziałem, że to Świstak, zerwał się z krzesła z grymasem na mięsistej twarzy.

— Niech będzie powitany Książę Łowców — powiedział Chang i dodał kilka chińskich słów zwracając się do ludożercy, który mnie trzymał.

Ten postawił mnie na nogi i odwrócił się, żeby zamknięciem drzwi powstrzymać moich prześladowców.

Świstak usiadł i nie spuszczał ze mnie chytrych, nabiegłych krwią oczu. Jego opadła twarz nie zdradzała radości.

Wetknąłem rewolwer do kieszeni, zanim ruszyłem przez pokój. Idąc, zauważyłem coś. Za krzesłem Świstaka aksamitna kotara wzdeła się odrobinę, nie na tyle, by zauważył to ktoś, kto już raz tego nie widział. A więc Chang wcale nie ufał swojemu partnerowi!

— Chciałbym, żeby pan zobaczył, co tu mam — powiedziałem do starego Chińczyka znalazłszy się przed nim, a raczej przed stołem, za którym siedział.

— Błogosławione zaiste są oczy, które mogą patrzeć na wszystko, co przyniesie Ojciec Mścicieli.

— Słyszałem, że wszystko, co jest wysyłane do Chin, wcale tam nie dociera — oświadczyłem wsuwając rękę do kieszeni.

Świstak skoczył na równe nogi z ohydny grymasem ust i twarzą brudnoróżową. Chang Li Ching spojrział na niego i Świstak opadł z powrotem na krzesło.

Wyjąłem fotografię Świstaka z orderem Wschodzącego Słońca na piersi stojącego w grupie Japończyków. Miałem nadzieję, że Chang nie słyszał o tym, że medal był podrobiony. Rzuciłem zdjęcie na stół.

Świstak wykręcał szyję, ale nie mógł nic zobaczyć.

Chang Li Ching przez dłuższą chwilę przyglądał się zdjęciu wzrokiem bystrym, ale łaskawym — ręce miał złożone, twarz łagodną. Nie drgnął w niej ani jeden mięsień. Oczy nie zmieniły wyrazu.

Paznokcie jego prawej ręki powoli przecięły czerwoną linią wierzch lewej dłoni.

— Prawdą jest — rzekł cicho — że w towarzystwie człowieka mądrego nabywa się mądrości.

Otworzył dłonie, ujął zdjęcie i podał je grubasowi. Świstak chwycił fotografię. Twarz mu poszarzała, oczy wyszły z orbit.

— Ależ to... to jest... — zaczął i zamilkł, opuścił zdjęcie na kolana i skurczył się cały jak pod ciężarem kłeski.

To mnie zaskoczyło. Byłem przygotowany na kłótnię i przekonywanie Changą, iż order nie był podrobiony, chociaż był.

— Może pan żądać za to, czego pan chce — powiedział do mnie Chang Li Ching.

— Chcę, żeby dla Lilian Shan i Garthorne'a skończyły się kłopoty, chcę tego pańskiego grubasa, co tu siedzi, i każdego, kto był zamieszany w zabicie tych dwóch Chinek.

Oczy Changą zamknęły się na chwilę — pierwszy znak znużenia, jaki dostrzegłem na jego okrągłym obliczu.

— Może pan to mieć — powiedział.

— Układ, jaki pan zawarł z panną Shan, przestaje oczywiście obowiązywać — podkreśliłem z naciskiem. — A ten milusiński... — wskazałem na Świstaka — co do niego, to potrzebowałbym trochę dowodów, żeby posłać go na szubienicę.

Chang uśmiechnął się smutno.

— Obawiam się, że to niemożliwe.

— Dlaczego?...

Aksamitna kotara za Świstakiem zwiśla teraz gładko. Jedna noga krzesła, na którym siedział, połyskiwała w świetle, a pod krzesłem rozpostarła się kałuża krwi. Nie musiałem widzieć jego pleców, żeby zrozumieć, że już go nie powieszają.

— Jeśli tak, to co innego — powiedziałem i nogą przysunąłem do stołu drugie krzesło. — Teraz pomówimy o interesach.

W dwa dni później wszystko zostało wyjaśnione ku zadowoleniu policji, prasy i publiczności. Świstaka znaleziono w ciemnej uliczce nieżyjącego od kilku godzin z powodu rany w plecach. Podobno zginął w jakiejś bijatyce przemytników alkoholu. Złapano Hoo Luna. Złapano Chińczyka o złotych zębach, który w domu Lilian Shan otworzył jej drzwi. Złapano też pięciu innych. Ta siódemka wraz z Yin Hungiem, szoferem, otrzymała w rezultacie po dożywociu każdy. Byli to ludzie Świstaka i Chang rzucił ich na pożarcie nie mrugnawszy okiem. Przeciw Changowi mieli tyle samo dowodów, co ja, więc nie mogli się odegrać, nawet, jeśli wiedzieli, że większość dowodów przeciw nim dostarczył mi Chang. Prócz dziewczyny, Changą i mnie nikt nie wiedział o roli Garthorne'a, więc chłopiec wyszedł z tego cało zyskując pozwolenie przebywania do woli w domu Lilian Shan.

Nie mogłem wysunąć przeciwko Changowi żadnego zarzutu, nie mogłem znaleźć dowodów. Nie przejmowałem się jego patriotyzmem i dałbym sobie rękę uciąć, żeby starego wsadzić do pudła. Byłoby o czym pisać do domu. Nie miałem jednak żadnej szansy przyłapania go na gorącym uczynku, musiałem więc zadowolić się naszym układem: oddał mi wszystko z wyjątkiem siebie samego i swoich przyjaciół.

Nie wiem, co się stało z Hsiu Hsiu, tą piskliwą niewolnicą. Należało jej się, żeby wyszła z tego cało. Byłbym poszedł do Changą, żeby o nią spytać, lecz poniechałem tego. Chang dowiedział się, że order na fotografię był podrobiony. Dostałem od niego kartkę:

Pozdrowienia i wyrazy Wielkiej Miłości dla

Odkrywcy Tajemnic.

Ten, którego patriotyczny zapał i wrodzona głupota zdołały oślepić do tego stopnia, że zniszczył pożyteczne narzędzie, uja, iż żadne przy-

*podkt ziemskiego losu nigdy więcej nie każą mu  
zmierzyć swego nędznego rozumu z nieodpartą wolą  
i wspaniałym umysłem Władcy Tych Co Rozwiązują  
Zagadki.*

*Możecie to rozumieć, jak chcecie. Znam jednak  
człowieka, który napisał te słowa i nie waham się  
przyznać, że przestałem jadać w chińskich  
restauracjach i jeśli nigdy więcej nie będę musiał  
odwiedzić Chinatown, to będzie to akurat tyle, ile  
sobie samemu życzę.*

*Dygitalizował Bodziokb.*